

MyApple

magazyn

Nr 6/2015(6)
ISSN: 2080-4776
www.myapple.pl

Cupertino
Max

Kijów
Krystian

Podróże
fanboya

Czynnik ludzki w Apple Music | Co dalej z Apple TV? | Pogłoski o nowych iPhone'ach
Zamienniki aplikacji | Powrót do szkoły | Programy do edycji fotografii
Lifeproof frē power | Przygody w świecie mobilnym



Zanim się obejrzelśmy, lato zbliża się ku końcowi. I choć temperatury stają się coraz bardziej znośne, to nadchodzący wrzesień należy - nie tylko w przypadku Apple, ale i szerzej świata technologii - do jednego z najbardziej gorących miesięcy w roku. Już 4 września ruszają berlińskie targi elektroniki konsumenckiej IFA, które jak zwykle będziemy dla Was relacjonować. Kilka dni później Apple pokaże nowe iPhone'y. Hasło zapowiadające tę konferencję „Hey Siri give us a hint” może sugerować także prezentację nowej wersji tego asystenta. Czy będzie on dostępny tylko na iPhone'ach, iPadach, iPodach touch i zegarku Apple Watch, czy może znajdzie się także w systemie oczekiwanego przez wielu - także i przeze mnie - nowego Apple TV? Za niecałe dwa tygodnie będziemy już znali odpowiedź na to pytanie.

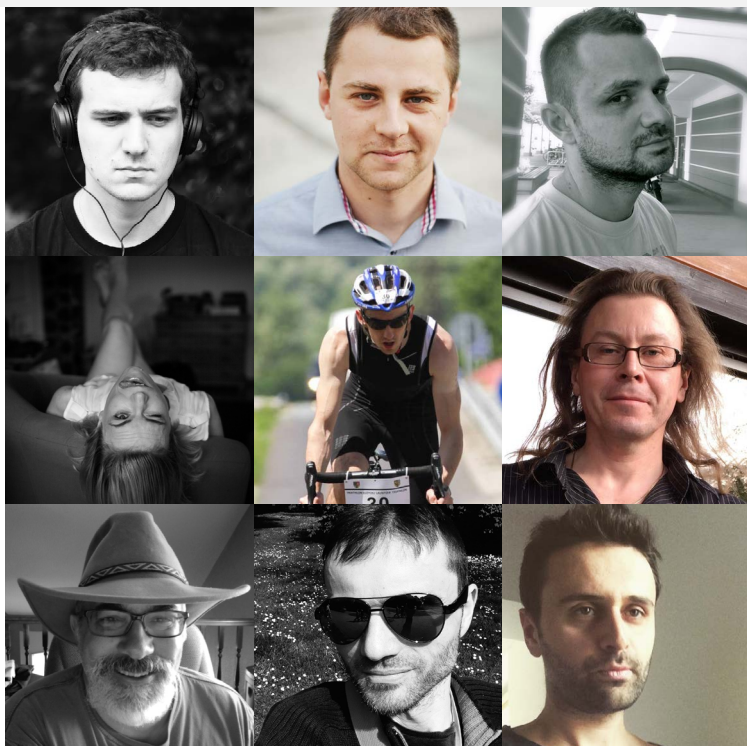
Osobiście to właśnie na nowe Apple TV czekam najbardziej. Możliwe, że kupię je wcześniej - jeśli tylko się pojawi - niż nowego iPhone'a (zastanawiam się, czy nie wrócić do dwuletniego cyklu wymiany tych urządzeń). Od lat mówi się o tym, że wprowadzenie na rynek nowej przystawki telewizyjnej Apple uzależniać ma od dogadania się z sieciami kablowymi czy szerzej z dystrybutorami treści. O tym, czy - a jeśli tak, to w jaki sposób - Apple TV może wpłynąć na zmianę mechanizmu dystrybucji, pisze w bieżącym numerze Daniel Świątko.

Z pewnością sporo wiemy już o nowych iPhone'ach, które Apple zaprezentuje 9 września. Wiedzę tę podsumowuje w swoim tekście Grzegorz Świątek.

Kończące się lato to okres wszelkiego rodzaju wyjazdów. Kilka dni temu wybrałem się do Kijowa w odwiedziny do dobrze Wam znanej firmy MacPaw, w której powstały i cały czas są rozwijane świetne aplikacje, jak CleanMyMac, CleanMyDrive, Hider 2, Encrypto czy Gemini. Miałem okazję poznać jej historię, a także z bliska przyjrzeć się pracy firmy, tworzącym ją ludziom oraz szerzej mieszkańcom Kijowa. O tym także przeczytacie na łamach tego numeru MyApple Magazynu.

To tylko niektóre z tematów poruszanych w tym numerze MyApple Magazynu. Zachęcam Was oczywiście do lektury wszystkich. Od deski do deski.

Krzysztof Kozerański
MyApple Magazyn



MyApple
magazyn

Nr 6/2015(6)
ISSN: 2080-4776

MyApple Magazyn

Wydawca:
MyApple s.c.
Kaliska 10
97-400 Bełchatów
NIP: 769-221-98-23
tel: 666 493 493
fax: 042 299 6333

kontakt: magazyn@myapple.pl

[/MyAppleMag](https://twitter.com/MyAppleMag)

Skład redakcji:

Redaktor Naczelny:
Krzysztof Kozerański

Redaktorzy:
Jacek Zięba, Grzegorz Świątek,
Max Pijanowski, Kinga Zielińska,
Michał Mastowski, Jaromir Kopp,
Steve Sande, Daniel Świątko,
Rafał Pawłowski

Korekta
Agnieszka Kozerańska

Layout i skład:
Radek Szwarz

Aplikacja iOS:
Michał Gapiński

Okładka: fot. Kasia Sitek

Treści i grafiki publikowane w MyApple Magazyn są chronione prawem autorskim wydawcy oraz ich autorów, a także osób trzecich. Znaki towarowe umieszczone w MyApple Magazyn podlegają ochronie prawnej. Wykorzystanie z materiałów o których mowa wyżej jest zabronione bez pisemnej zgody autora lub wydawcy.

Z wizytą w MacPaw

Krystian Kozerański



Aplikacji, takich jak CleanMyMac, Hider 2, Gemini, nie trzeba nikomu przedstawiać. Zwłaszcza tych pierwszych z wymienionych, które są dostępne na rynku od ośmiu lat. Moja przygoda z komputerami Mac zaczęła się mniej więcej w tym czasie i o CleanMyMac usłyszałem dość szybko. Twórcą tych programów i założycielem wydającej je firmy MacPaw jest Oleksandr Koshovan.



Od pasjonata do przedsiębiorcy

Oleksandr już jako student pasjonował się produktami Apple. W połowie ubiegłej dekad, zarabiając 200 hrywien miesięcznie (około 20 dolarów), nie mógł sobie jednak pozwolić na zbyt wiele. W jednym z kijowskich sklepów kusił go iMac lampka, ale pieniędzy starczyło tylko na klawiaturę. Ojciec i brat Oleksandra, jak wielu Ukraińców, wyemigrowali za pracę na Zachód, do Paryża. Dzięki ich wsparciu i własnym oszczędnościom udało mu się kupić PowerBooka. W tym czasie był chyba jedynym studentem na uniwersytecie w Kijowie, który pracował na Macu. Wspomina on, że wykładowcy patrzyli na niego wilkiem, bo jako jedyny robił notatki na laptopie. Swoją pracę dyplomową - program oparty o sieć neuronową do odczytywania ze zdjęć stanów liczników na wodę - także napisał na Macu.

Pracując na PowerBooku, zaczął poznawać tajniki systemu OS X. Jakiś czas później Apple ogłosiło przejście na procesory Intel. Dwuletni PowerBook znalazł nowego właściciela. Oleksandra nie było jednak stać na nowy komputer z procesorem Intel. Zbudował więc na bazie swojego peceta hackintosha. Tego typu maszyny stawały się popularne wśród studentów, których oszczędności nie pozwalały na zakup oryginalnych komputerów Apple. Postawienie OS X na pececie w owym czasie wymagało sporo pracy. Oleksandr pisał sterowniki i dostosowywał system do swojego komputera. Dzięki temu poznał bardzo dobrze architekturę Mac OS X. To wtedy stworzył własne aplikacje, które okazały się strzałem w dziesiątkę - CleanMyMac i MacHider (obecnie znany pod nazwą Hider 2). Pisał je głównie dla siebie, jednak po umieszczeniu ich wersji beta w jednym z repozytoriów oprogramowania bardzo szybko pojawili się chętni na kupno pełnych wersji.



Niemal całe biuro, poczynając od ekspresu do kawy, przez sale konferencyjne i ekrany projekcyjne, a na gazowym kominku kończąc, oparte jest o technologię smart home i można nim zarządzać wprost z iPhone'a. Część aplikacji sterujących urządzeniami w biurze stworzyli programiści MacPaw..



...wszyscy wierzą w nową Ukrainę. Jej symbolem jest wiszący w biurze firmy portret ukraińskiego narodowego wieszacza - Tarasa Szewczenki - trzymającego w dłoni iPhone'a.

„Marzyłem o swojej własnej firmie. O firmie takiej jak Omnigroup CultureCode. Uczyłem się z ich doświadczeń. Staratem się też wypromować swoje programy.”

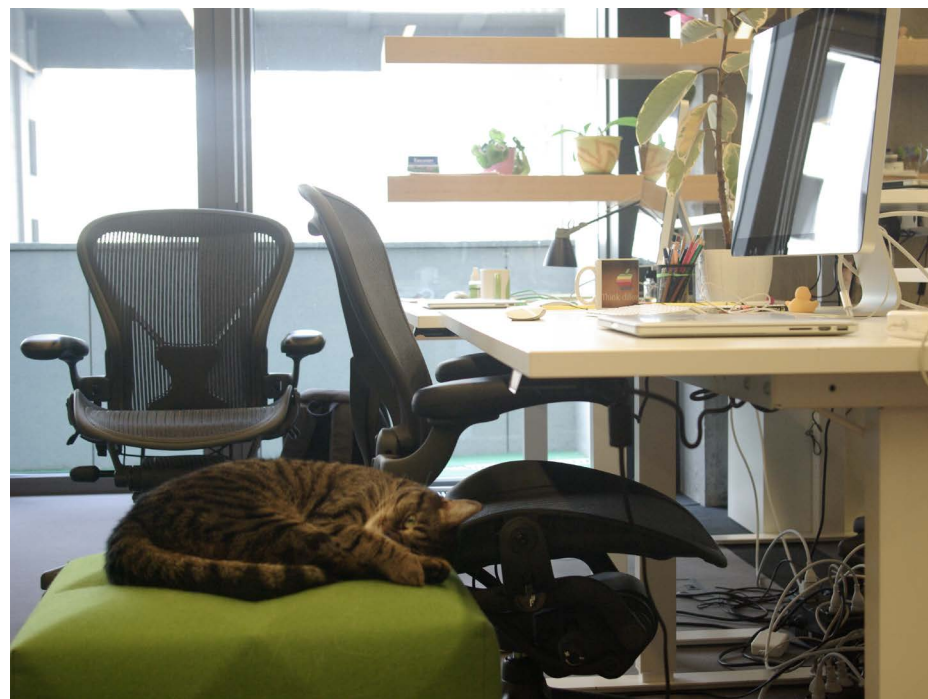
Pojawiali się klienci, powstała więc firma i strona internetowa. Jak Oleksandr przyznaje, nazwa wybrana została przy okazji poszukiwania odpowiedniej domeny. Nawiązywała nie tylko bezpośrednio do komputerów Mac, ale i do poszczególnych wersji systemu OS X, których nazwy pochodziły od dużych kotów (w tym wypadku chodziło o odcisk kocię łapy). W owym czasie rodziło się też już środowisko kijowskich programistów piszących aplikacje dla komputerów Apple. Oleksandrowi pomógł m.in. Iwan Ablamski, który później założył firmę Coppertino, znaną obecnie przede wszystkim ze świetnego odtwarzacza muzycznego dla iOS i OS X o nazwie Vox.

6 stycznia 2009 roku na stronie MacPaw.com ruszyła sprzedaż CleanMyMac i MacHider. W owym czasie firma, choć sprzedawała już sporo, nie była jeszcze dochodowa. W wywiadzie dla rosyjskiego serwisu macosworld.ru Oleksandr wspominał, że pod koniec każdego tygodnia dojadali resztki z lodówki i że poczucie humoru pozwoliło mu utrzymać się na powierzchni, gdy brakowało mu już sił.

W 2009 roku w MacPaw, w biurze o powierzchni 23 metrów kwadratowych ze starymi meblami zebranych z różnych miejsc, pracowało pięć osób. W 2012 było już 30 pracowników, a obecnie jest ich już ponad 80. Firma od dawna nie jest już startupem i - zdaniem Julii Petryk, PR Manager firmy - nie chce już być za taki postrzegana. Obecne biuro MacPaw liczy dobrze ponad 500 metrów kwadratowych i pełne jest nowoczesnych technologii.

Każdy z zespołów posiada swoją własną przeszkloną salę, na pracowników czekają także niewielkie przedziały do pracy w odosobnieniu i dwa przestronne tarasy. Jest też labo-

ratorium wyposażone w drukarkę 3D i sprzęt elektroniczny, w którym raz w tygodniu w piątek mogą oni pracować nad swoimi własnymi projektami. Niemal całe biuro, poczynając od ekspresu do kawy, przez sale konferencyjne i ekrany projekcyjne, a na gazowym kominiku kończąc, oparte jest o technologię smart home i można nim zarządzać wprost z iPhone'a. Część aplikacji sterujących urządzeniami w biurze stworzyli programiści MacPaw.



Pisząc o biurze MacPaw, nie mogę nie wspomnieć o szwendających się po nim kotach - Fixlu i Hooverze. Zwierzęta w firmie ocieplają i tak już dobrą atmosferę. Ma to niebagatelne znaczenie w firmie, która stara się tworzyć możliwie najlepsze aplikacje. Trzeba pamiętać, że MacPaw to jednak przede wszystkim miejsce pracy. Oleksandr wymyślił ciekawy system dodatkowej motywacji dla swoich pracowników - wewnętrzną walutę, nazwaną od jednego z kotów - Fix.

Poza wynagrodzeniem pracownicy otrzymują także dodatkowo nagrody w postaci bitych specjalnie dla MacPaw monet, którymi można płacić w znajdujących się w biurze automatach z napojami czy produktami spożywczymi.



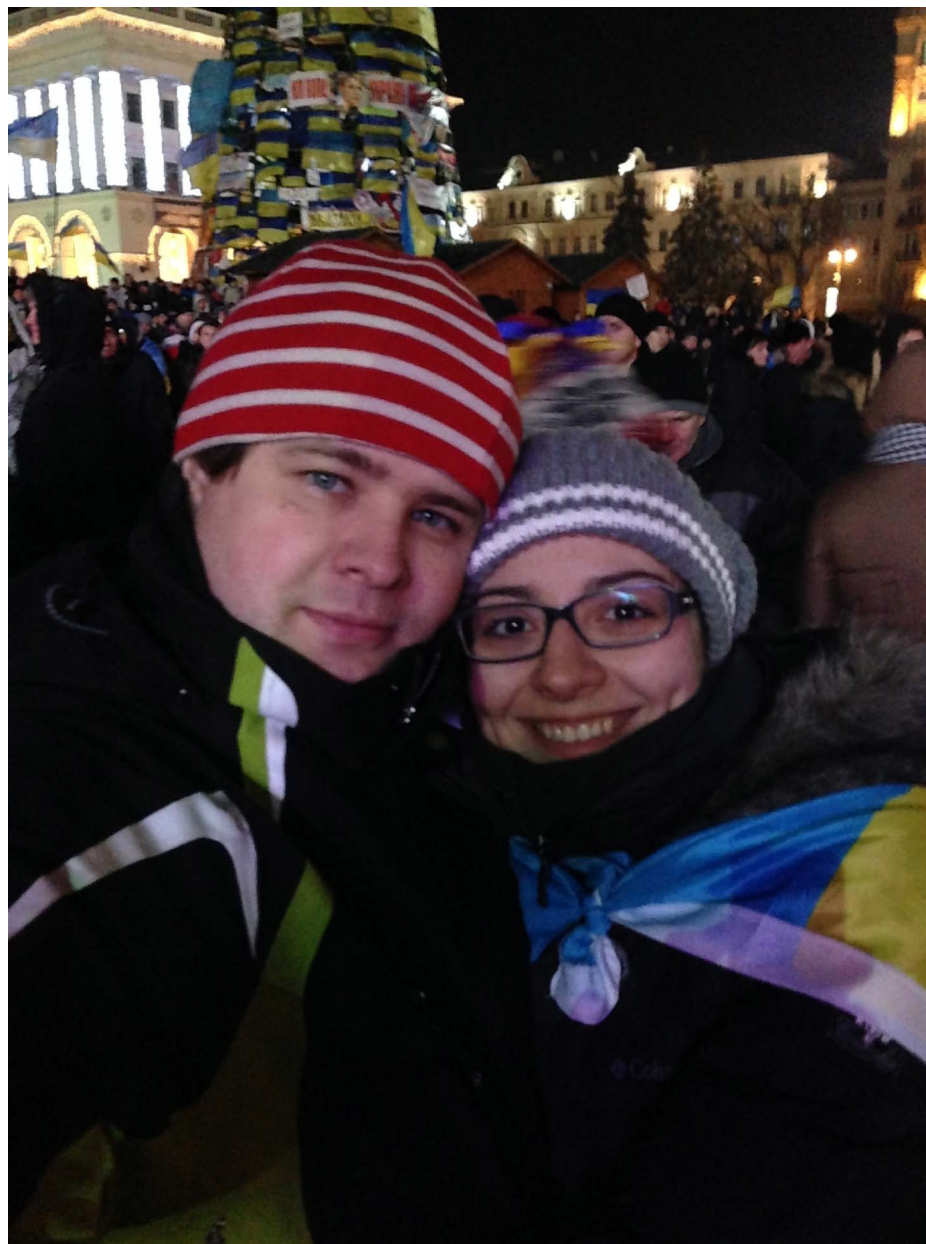


Szcze ne wmerła Ukrajina

Przez lata mojej przygody z aplikacjami dla OS X i iOS co rusz odkrywałem, że popularne wśród użytkowników programy zostały stworzone na Wschodzie, przede wszystkim właśnie na Ukrainie. Clean My Mac i inne aplikacje stworzone przez zespół MacPaw nie są tutaj wyjątkami. Wspomniałem już o firmie Coppertino, która obecnie promuje swój odtwarzacz Vox, ale są też inne, jak choćby MacPhun ze świetnymi aplikacjami dla OS X i iOS do obróbki zdjęć czy Softorino ze swoim konwerterem plików multimedialnych usprawniającym ich przesyłanie z komputera Mac na urządzenia z iOS. W Kijowie działa także ZeoBit, twórca MacKeepera. Jest wreszcie mieszcząca się w Odessie firma Readdle, która stworzyła świetne aplikacje dla iOS, jak Documents, Scanner czy klient poczty Spark.

Oczywiście to, że w Kijowie znaleźć można wielu świetnych programistów, nie jest niczym wyjątkowym. W Polsce też mamy rzesze świetnych programistów. Mnie interesowało jednak to, jak to możliwe, że w kraju, który przez niemal całe poprzednie stulecie znajdował się w Związku Radzieckim (lub jak kto woli Związku Sowieckim) i który przez pierwsze 20 lat swojej niepodległości zżerany był przez korupcję i nepotyzm, rodzą się nie tylko świetne aplikacje, ale przede wszystkim

Niektórzy z amerykańskich użytkowników komputerów Mac nie chcieli nawet wypróbować jego programów, bo nie wiedzieli gdzie leży Ukraina, albo że nie jest już częścią Związku Radzieckiego, a on sam nie pracuje dla KGB.



świetne pomysły na ich stworzenie. Mam przy tym świadomość, że moje pytanie w dużym stopniu wynika z nieznaności tego bliskiego nam kraju oraz z panujących na jego temat stereotypów.

Oleksandr nie ma na nie prostej odpowiedzi. Uważa jednak, że ogromne znaczenie ma system kształcenia. Jego zdaniem akurat edukacja, a przede wszystkim nauczanie przedmiotów ścisłych, w czasach Związku Radzieckiego była na Ukrainie na bardzo wysokim poziomie. Z biegiem lat w niepodległej Ukrainie uległo to zmianie na niekorzyść. Wiele osób otrzymało jednak wiedzę od nauczycieli starszej daty, prawdziwych pasjonatów, którzy zainspirowali je do dalszego własnego rozwoju. Poza tym komputery różnej konstrukcji były dostępne na Ukrainie jeszcze w minionej epoce.



W rozmowie z Oleksandrem przyznałem, że również moje postrzeganie Ukrainy oparte jest w pewnym stopniu na stereotypach. On zaś odpowiedział, że w minionych latach sam się z nimi niekiedy spotykał. Niektórzy z amerykańskich użytkowników komputerów Mac nie chcieli nawet wypróbować jego programów, bo nie wiedzieli nawet, gdzie leży Ukraina, albo że nie jest już częścią Związku Radzieckiego, a on sam nie pracuje dla KGB.

MacPaw to z jednej strony firma międzynarodowa, w której pracują razem i przyjaźnią się nie tylko Ukraińcy, ale także Rosjanie (np. pochodzący z jednego z tajnych i zamkniętych miast w Rosji twórca logo Clean My Mac Dmitry Novikov) i Amerykanie. Z drugiej jednak, jak przyznaje sam Oleksandr, wszyscy wierzą w nową Ukrainę. Jej symbolem jest wiszący w biurze firmy portret ukraińskiego narodowego wieszacza - Tarasa Szewczenki - trzymającego w dłoni iPhone'a.

O nową Ukrainę walczyli zresztą sami pracownicy MacPaw. Firma wsparła finansowo rewolucję, a Oleksandr wraz z przyjaciółmi walczył z Berkutem na Majdanie. Przyznaje, że wydarzenia, które miały miejsce w latach 2013 i 2014 oraz agresja Federacji Rosyjskiej, spowodowały zwrot w myśleniu ogromnej rzeszy Ukraińców. Ludzie zaczęli sobie pomagać i myśleć nie tylko o sobie, ale także o innych. Czuje się to nie tylko w biurze MacPaw, ale i na ulicach Kijowa.

Oleksandr wspomina także, że przed rewolucją myślał o przeniesieniu firmy za granicę, na Zachód, bo państwo ukraińskie chyliło się ku upadkowi. Teraz widać już światło w tunelu i zmianę mentalności całego społeczeństwa. MacPaw przynajmniej na razie zostaje w Kijowie.

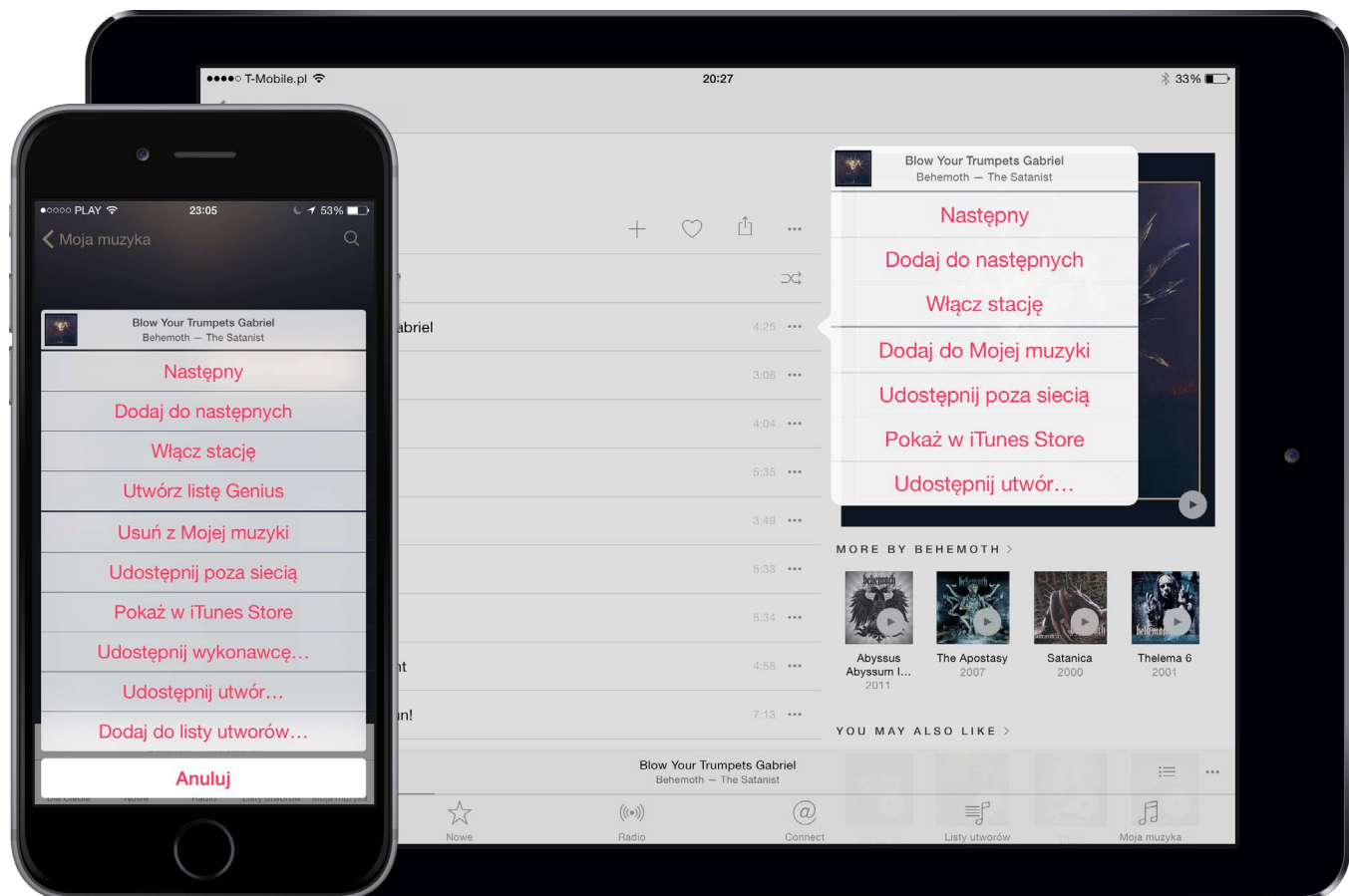
Fotografie wnętrza biur Mac Paw - Kijów: archiwum Autora
Fotografia Oleksandra z Majdanu



Czynnik ludzki w Apple Music robi przewagę

 Michał Mastowski

Apple Music nie miało najlepszego startu. Po pierwsze weszło na rynek długo po konkurencji. Na naszych smartfonach od dawna grały takie usługi, jak Spotify, Deezer, Google Music, Tidal itp., więc osoby zainteresowane streamowaniem muzyki z reguły miały już coś wybrane, jakiś abonament wykupiony, playlisty ułożone, a bibliotekę Moja muzyka wypełnioną po brzegi.



Dramatyczny interfejs

Po drugie sama aplikacja Muzyka, czy to na iPhone, czy to na iPadzie, jest - delikatnie rzecz ujmując - niezbyt udana. Powiedzieć o niej, że jest nieintuicyjna, to tak jakby nic nie powiedzieć. Nie uważam się za technologicznego inwalidę (choć z wiekiem to podobno się zmienia), ale znalezienie interesujących mnie opcji zajęło mi dłuższą chwilę. Do dzisiaj, kiedy chcę np. wyświetlić tylko utwory zapisane w pamięci telefonu, muszę się momentami zastanowić nad tym, gdzie to jest zakopane. O tym, że jest ona nieco przekombinowana, wiedziałem już wówczas, gdy obserwowałem jej pokaz robiony przez Eddy'ego Cue podczas czerwcowego Keynote'a. Już wtedy zgubiłem się w połowie, rozkojarzyłem się podczas prezentacji, przygnieciony nawałem informacji. Tego wszystkiego jest za dużo, poukrywanych opcji jest tyle, że naprawdę można się zgubić. Konia z rądem temu, kto od razu, gdy słucha w apple'owskim radiu - np. w Beats 1 - jakiegoś utworu, jest w stanie przejść do widoku albumu, z którego ten utwór pochodzi! Aż boję się to na głos wypowiedzieć, ale aplikacja Apple Music jest wyjątkowo nie

w stylu Apple. Powiem więcej! Za czasów Jobsa to by nie przeszło. Robiono by ją dopóty, dopóki dziecko z przedszkola nie umiałoby jej obsłużyć.

Ta toporność i brak intuicyjności aplikacji zostały natychmiast wychwycone przez recenzentów, którzy nie zostawili na niej suchej nitki. A to, co napisali oni o nowym iTunes na komputery, które zawiera w sobie usługę Apple Music, nie nadaje się w dużej mierze do cytowania. Tu aż roi się od niekonsekwencji. Poukrywane tu i ówdzie historyczne pozostałości po starym iTunes mieszają się z nowymi wstawkami z nowej usługi Apple Music. Dramat w ciapki! To widać, że bieżąca wersja iTunes była pisana bardzo szybko i nie przeszła przed premierą należytych testów.

A co mają powiedzieć osoby bez zacięcia technologicznego, które okazjnie, od czasu do czasu, włączają taką aplikację? One naprawdę potrzebują ultra intuicyjnego, prostego i lekkiego interfejsu użytkownika. Takim z pewnością nie jest ten z Apple Music. Stwarza to ogromne ryzyko, że nowa osoba,

po krótkiej chwili konsternacji, po prostu wyłączy tę aplikację i powróci z ulgą do czegoś, co już zna, czego już się zdążyła nauczyć, czyli np. do Spotify czy też do Deezer.

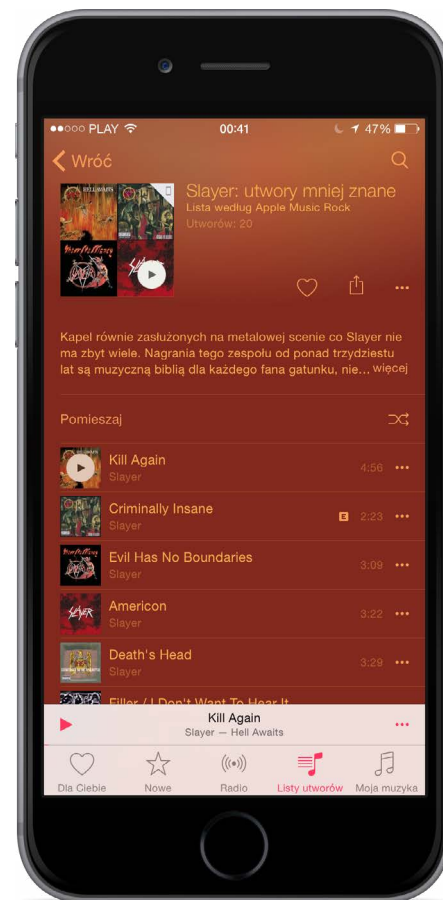
Zresztą... znam mnóstwo osób, które wprost mi mówią, że nie po to tyle uczyli się korzystania ze Spotify, które też wbrew pozorom nie jest zbyt intuicyjne, aby teraz uczyć się na siłę czegoś nowego.

Nie wiem co ma mnie zachęcać do zaglądania do Connect, skoro mówiąc obrazowo wiatr hula tu po pustych pokojach.

Martwy Connect

Co jeszcze jest nie tak? Kompletnie nie rozumiem, po co komu nowa „społecznościówka” wymyślona przez Apple, czyli Connect. W zamysle miała to być tuba informacyjna, dzięki której nasi ulubieni twórcy będą mogli opublikować jakieś ciekawe zdjęcie z koncertu lub z sesji nagraniowej czy zaprezentować np. premierowy utwór z najnowszej płyty. Będą mogli podgrzewać atmosferę przed publikacją nowego albumu. Takie były z pewnością założenia. Wszystko dobrze, tylko co to za serwis społecznościowy, w którym najnowszą wiadomość mam sprzed... pięciu dni! A obserwuję 22 zespoły! Nie wiem, co ma mnie zachęcać do zaglądania do Connect, skoro - mówiąc obrazowo - wiatr hula tu po pustych pokojach. Wiem, dlaczego zaglądam na Facebooka czy na Twittera. Tam się ciągle coś zmienia, ciągle są publikowane nowe wiadomości. Na Connect nie dzieje się zupełnie nic. Tęsknię w takich momentach

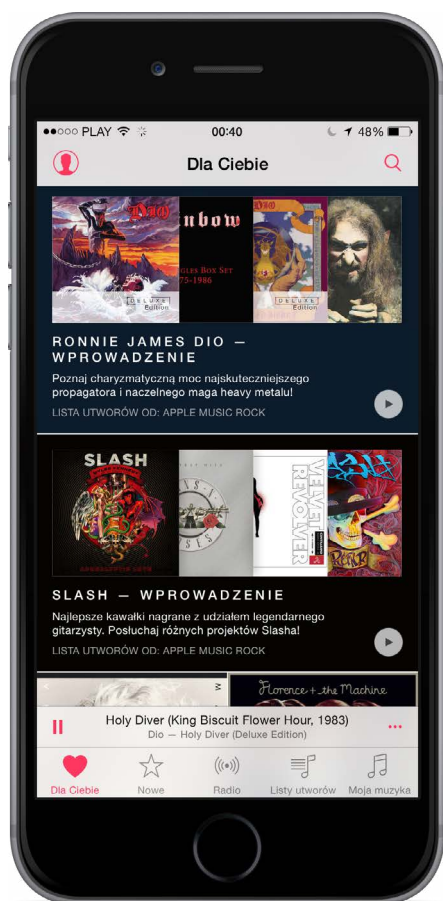
za Spotify (mimo że nigdy nie byłem jakimś zagorzałym zwolennikiem tej usługi), gdzie bardzo chętnie klikałem i słuchałem utworów, których słuchali moi znajomi. Jak już po krótkim czasie nauczyłem się, jakie mają gusta, to bardzo szybko udawało mi się znaleźć nowe fajne zespoły, których wcześniej nie znałem. Skoro znajomy tak często tego słucha, to coś w tym jest, posłucham i ja!



Czynnik ludzki

I tu dochodzimy do najważniejszego. Czyli do tego, jak ważny przy wyborze muzyki jest czynnik ludzki. Nie ma lepszej rekomendacji dla mnie niż to, że inny fan metalu zachwyca się nowym utworem Slayera, Megadeth czy Behemotha! Żaden bezduszny algorytm wyszukujący podobne utwory nie zastąpi rekomendacji prawdziwego fana.

Ponarzekałem na Apple Music, na to, co boli mnie najbardziej, czyli głównie na interfejs użytkownika. Jest przekombinowany, nie dam się przekonać do tego, że jest inaczej. Czas przejść do tego, co jest w Apple Music dobre.



Dla Ciebie

Zaglądam do sekcji Dla Ciebie codziennie. I codziennie jestem zaskakiwany tym, jakie fantastyczne rzeczy tam znajduję. Skoro Apple Music wie, że jestem fanem metalu, to regularnie serwuje mi a to przegląd największych metalowych hitów z lat 80. (złota era trashu) lub 90. ubiegłego wieku, a to playlistę „Marilyn Manson - wprowadzenie”. Miałem niemalże łzy w oczach, gdy zobaczyłem playlistę „Slayer - utwory mniej znane”. Tak! Tego mi właśnie trzeba! Takich przykładów, które potem lądują w moich zapisanych listach utworów, mógłbym wymienić bardzo dużo.

Sekcja Dla Ciebie służy mi do dwóch celów. Po pierwsze ze wzruszeniem przypominam sobie stare utwory, których słuchałem „za dzieciaka”, na moim wystużonym magnetofonie Kapral, gdzieś dawno, dawno - tak ze 20-30 lat temu. To były piękne czasy, gdy zdobycie nowej płyty czegokolwiek granicyło z cudem, jakość nagrań wołała o pomoc do nieba, ale kto by się wówczas tym przejmował?! Muzyka z takim trudem skombinowana z bliżej nieokreślonego źródła (pi-

ractwo było wówczas powszechne i legalne) smakowała inaczej. Znałem całe płyty ulubionych zespołów na pamięć, a kasety z nagraniami miałem zajechane „na śmierć”. Piękne czasy, których choćby wspomnienie wywołuje wielki uśmiech na mojej twarzy. A to wszystko pod jednym przyciskiem np. na liście utworów „Rock - hity z lat 90.”!

Po drugie, tutaj właśnie znajduję nowe perełki. I w głowie mi się nie mieści, że ta muzyka istniała tyle lat, ja nie wiedziałem o jej istnieniu, a do tej pory żaden automat, np. ze Spotify, mi jej nie podsunął.

Teraz najważniejsze, co rekompensuje z namiązką wszystkie niedogodności Apple Music. Nie wiem jak oni to robią, ale złapałem się na tym, że jak puszczałam sobie taką przygotowaną przez Apple playlistę z sekcji Dla Ciebie, to praktycznie nie pomijam utworów. Gdy jadę samochodem, to taka playlista zastępuje mi radio, bo niemal w 100% okazuje się, że wszystko jest w porządku. Każdy utwór mi się podoba. Niczego nie muszę pomijać. Utwory doskonale mi znane tylko przeplatają się z nowościami. Po takiej sesji z Apple Music i sekcją Dla Ciebie często całe playlisty, bez pominięcia choćby jednego utworu, lądują w Mojej Muzyce! Bosko!

Ja daję Apple Music szansę. Niedogodności interfejsu można zawsze jakimś updatem oprogramowania naprawić. Ufam, że to będzie się działo. W końcu to dopiero pierwsza wersja tego oprogramowania. Ludzi stojących za listami utworów, za radiem Beats 1, już tak łatwo zastąpić się nie da. Apple, róbcie tak dalej, mnie macie kupionego.

Ilustracje:
1 - ideconcept.pl
pozostałe - ikony i screenshoty opisanych aplikacji

Co dalej z Apple TV?

 Daniel Światty

Nie raz i nie dwa czytałem opinie, że Apple TV jest produktem, na który firma z Cupertino nie ma pomysłu. Z nieśmiałym uśmiechem, trochę usprawiedliwiając się, jej przedstawiciele zwykli mówić, że traktują to niepozorne pudełeczko jako hobby. Czyli przestanie może być takie: nie oczekujcie zbyt wiele, bo to na nas spadły koszty utrzymania tej zabawki na rynku. A za niewielką sumę, którą musicie zapłacić i tak macie frajdę – wszystko z iTunes plus YouTube na ekranie telewizora. W sumie kosmos, prawda? Bo – szanujmy się – kto dziś ogląda tradycyjną telewizję? Wasze treści pochodzą z internetu. Telewizor macie do konsoli. A przy okazji do Apple TV.

ładny gips. Skoro Apple ma hobby, to i my traktujemy pudełeczko jak hobby. I tak z grubszą puszcza do siebie oczko od paru lat. Przecież nie będziemy snuć wizji o zabawce. Bo zgodziliśmy się, że to zabawka, prawda? No i Apple za nią płaci. Nareszcie za coś płaci. Nie zwykło przecież. Z reguły strzyże.

Czy piractwo generuje realne straty, było i jest kwestią dyskusyjną. Problem leży w czymś innym. Piractwo unaocznia, że model oparty na ekskluzywnym pierwszeństwie oglądania filmu stracił rację bytu.

No dobra. O co więc w tym chodzi? Tak serio? Choć nie było to łatwe i zajęło trochę czasu, zmienił się system dystrybucji muzyki. Należy jednak o jednym pamiętać – lubianą muzykę odtwarzamy wielokrotnie. Często. Długo. Gdy wracamy do niej po przerwie, znów odtwarzamy często. I długo. I tak w kółko. Dzięki temu serwisy strumieniowe mają sens i pewnie kiedyś zepchną do niszy tradycyjny system dystrybucji. Swoją drogą – i nie jest to pytanie pozbawione sensu – czy zakup plików mp3 jest już, czy jeszcze nie jest systemem tradycyjnym?

W pętli wielokrotnych odtworzeń koszty mają szansę się zwrócić, można też liczyć na zysk. Branża filmowa i telewizyjna działa inaczej. Koszt produkcji filmu lub serialu jest ogromny. A istniejący system dystrybucji z trudem poddaje się modyfikacjom. Nie bez powodu. Nawet najwięksi fani nie obejrzą filmu tyle razy, ile wysłuchają ulubionych płyt. Zdecydowana zaś większość – i w oparciu o taki

właśnie wzorzec wymyślono obecny system dystrybucji – obejrzy film góra trzy razy. Raz w kinie. Raz z nośnika. Raz w telewizji.

W dużym uproszczeniu więc: producent filmu dochodzi do porozumienia z dystrybutorem, by mieć zapewniony zbył. Gotowe dzieło trafia do kin. Wpływy z biletów czasem zapewniają szybki zwrot kosztów produkcji, a także zysk. Dlatego przez rok film krąży po salach kinowych całego świata. Potem trafia na nośniki Blu-Ray i do telewizji kodowanych. Na samym końcu zaś do ogólnodostępnych nadawców i internetu. Bo wtedy jedyny przychód, na jaki można liczyć, pochodzi z reklam. Pozwolę sobie zaznaczyć jeszcze raz, że opisałem to w dużym uproszczeniu i przy założeniu, że nie bierzemy pod uwagę kopii rozpowszechnianych bez porozumienia z dystrybutorem. Ale o tym za moment.

Widać jak na dłoni, że – aby swobodnie oferować dostęp do głośnych tytułów kinowych bądź telewizyjnych – trzeba mocno wejść w rynek producentów, dystrybutorów oraz nadawców i wpływać kapitałem na swoje miejsce w szeregu. Sporym kapitałem. Z dużą dozą ryzyka. Pamiętając, że nieodłącznym elementem tego systemu jest sprzedaż i dystrybucja reklam. Franczyzę zostawmy na boku. Czy jest to obszar działalności Apple? Nie. Apple i tak jest znaczącym graczem, bo do sklepu iTunes tytuły trafiają od razu po wyjściu z kin lub po okresie eksploatacji w pasmach kodowanych w przypadku seriali. Jeszcze przed zejściem schodek niżej, czyli do nadawców ogólnodostępnych.

Chyba że... No właśnie, tu mogę wrócić do kwestii piractwa. Jego istnienie w tak ogromnej skali obnaża słabości obecnego mechanizmu dystrybucji. Pokazuje, że ów się wyczerpał i nie jest w stanie zgodnie koegzystować ze zjawiskami wynikającymi z istnienia internetu. Równoczesne premiery na całym świecie, krótki czas eksploatacji w kinach i za-

mkniętych pasmach nie przynoszą poprawy. Czy piractwo generuje realne straty, było i jest kwestią dyskusyjną. Problem leży w czymś innym. Piractwo unaocznia, że model oparty na ekskluzywnym pierwszeństwie oglądania filmu stracił rację bytu. Owszem, sala kinowa dostarcza wyjątkowych wrażeń, ale nie ma tak znaczącej przewagi nad sprzętem domowym jak kiedyś. Ba, świetnie rozumiem osoby, które wolą obejrzeć film w domu, bez zbyt głośnych reklam i klimatyzacji ustawionej na mrożenie widzów. Z napojem w cenie sklepowej, a nie zawyżonej do poziomu stratosfery. Nie tylko piractwo więc godzi w istniejący porządek. Sam porządek ma swoje słabości, które zjawisko piractwa umie skrzętnie wykorzystać. Dobrze, ale jaki ma to związek z Apple TV?

Taki, że - abyśmy byli w pełni zadowoleni z takiego urządzenia - chcielibyśmy, by było równie ekskluzywne jak wycieczka do kina lub premierowy seans pierwszego odcinka serialu w telewizji kodowanej. Trudno jest mi jednak wyobrazić sobie, że Apple stanie się partnerem przy produkcjach kinowych lub telewizyjnych, by zyskać pierwszeństwo dystrybucji niektórych tytułów w iTunes. Bardziej prawdopodobne, że czai się i czeka, aż obecny system ulegnie zmianie. Tak, by światowa premiera filmu nie była uzależniona od nośnika lub miejsca, a raczej od ceny biletu za seans. Czy możliwe będzie, że zamiast pójść do kina, zapłacimy wymaganą, na przykład odpowiednio większą kwotę i obejrzymy premierę z iTunes? Lub z innego dystrybutora treści, np. Google Play? Nie wiem. Łatwiej mi przychodzi pomyśleć, że taka unia mogłaby zaistnieć między iTunes a telewizjami kodowanymi. Chodzi mi o unię na szeroką skalę, nie umowy obejmujące jeden kraj. Skoro HBO może być dostarczane przez kablówki w każdym państwie, do którego dociera, może też być przez iTunes. A tym samym przez Apple TV. Biorąc jednak pod uwagę, że Apple lubi mieć wpływ na układy, w które wchodzi,

nie sędzę, by zredukowało iTunes tylko do roli biernego pośrednika i zachowało obojętność wobec emitowanych bloków reklamowych. Znowuż widać, że problem jest bardziej złożony niż w przypadku wytwórni muzycznych.

Jest jeszcze inna możliwość. W siłę rosną niezależni twórcy treści filmowych. A przez Apple TV można oglądać YouTube czy filmy z Vimeo. Niemniej jest to dodatek. Ot, jedna z funkcji. Był jednak taki czas, że decyzje Apple spopularyzowały podcasty – iTunes stał się bardzo ważnym centrum ich dystrybucji, selekcji i oceny. Czy mógłby być podobnie znaczący dla całej rzeszy youtuberów, videocasterów i niezależnych twórców treści telewizyjnych? To mogę sobie wyobrazić. Apple lubi budować coś od podstaw albo włączać się do gry, jeśli uważa istniejące rozwiązania za niewystarczające, zabałaganione lub popsute. Rynek dystrybucji filmowej rozrywki przeżywa kryzys i jest zepsuty. Apple co jakiś czas puszcza oczko i prosi, by nie traktować Apple TV poważnie. To wystarczające, by wyciągnąć wniosek, że myśli intensywnie, co z tym zrobić. Jedno jest pewne. Utrzymując na rynku zabawkę do przesyłu treści na ekran telewizora, jest do rewolucji przygotowane.

Ilustracje - ideeconcept.pl, materiały promocyjne Apple



Wszystko co wiemy o nowych iPhone'ach

 Grzegorz Świątek



9 stycznia 2007 roku Steve Jobs pokazał światu pierwszy model iPhone'a. Ówczesny prezes firmy z Cupertino nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wielki sukces odniesie to urządzenie. Można powiedzieć, że przyczyniło się ono do popularyzacji marki Apple na całym świecie. Oczywiście nie było tak, że urządzeń z logo nadgryzionego jabłka na obudowie nikt nie rozpoznawał, ale to właśnie dzięki iPhone'om Apple weszło pod strzechy. Były - a w zasadzie są jeszcze - iPody, lecz nawet w czasach ich świetności popularność tych urządzeń w skali światowej była znacznie mniejsza, niż ma to miejsce w przypadku iPhone'ów. Jeśli wierzyć spekulacjom, już 9 września tego roku oczy całego technologicznego świata skierowane będą na prezentację jedenastej i dwunastej wersji tego urządzenia.

Wracając do kwestii popularności iPhone'ów, warto wspomnieć o wielkości ich sprzedaży. Tylko w pierwszych dwóch kwartałach bieżącego roku sprzedanych zostało ponad 108 milionów sztuk tych urządzeń, co przełożyło się na przychód o wielkości nieco ponad 71 miliardów dolarów. Dla porównania, w analogicznym okresie iPad – drugie pod względem wielkości sprzedaży urządzenie w portfolio Apple – sprzedał się cztery razy słabiej. iPhone to najbardziej dochodowe urządzenie, które znajduje się w ofercie firmy z Cupertino. Aby jeszcze bardziej podkreślić ważność tego produktu, przytoczyć można fakt, że w drugim kwartale bieżącego roku przychody ze sprzedaży iPhone'a stanowiły prawie 70% wszystkich przychodów Apple.

Pojawiły się plotki o możliwości wprowadzenia dwóch nowych wersji kolorystycznych. Mówi się, że nowe iPhone'y będzie można kupić także w kolorze różowym oraz różowego złota. Być może przyczyni się to do zdobycia przez Apple całkiem nowej grupy klientów.

Ciekawe, w jakiej sytuacji znajdowałaby się ta firma, gdyby iPhone nie ujrzał nigdy światła dziennego. Na szczęście tak się nie stało, a już niedługo na rynek wejdzie nowa generacja tego urządzenia, a w zasadzie tych urządzeń, bo najprawdopodobniej pojawią się dwa iPhone'y, różniące się jedynie wielko-

ścią ekranu. W chwili, gdy piszę ten tekst, nie jest znana oficjalna data premiery nowych iPhone'ów, ale na ich temat wyciekło już tyle informacji, że wydaje się, jakby odbyła się co najmniej kilka dni temu.

Pierwsze pogłoski na temat tegorocznych iPhone'ów pojawiły się pod koniec lipca, kiedy to iPhone 6s wspomniany został w reklamie jednego z działających na terenie Stanów Zjednoczonych operatorów sieci komórkowej. Oczekuje się, że tak jak miało to miejsce w przeszłości, tak i teraz Apple zaprezentuje serię „s” (smartfony tej serii pojawiają się co dwa lata, a 2015 jest właśnie rokiem „s”) oraz że iPhone'y przedstawione zostaną w dwóch wersjach – z ekranami o przekątnej 4,7 i 5,5 cala. Oznaczałoby to skomplikowanie nazwy większego smartfona, 6s Plus – to nie brzmi dumnie. Jeden z analityków spekulował, że ze względu na znaczącą zmianę – zastosowanie technologii Force Touch – nowe smartfony oznaczone zostaną cyfrą „7”, lecz – patrząc na dotychczasowe poczynania Apple – jest to raczej mało prawdopodobne. Seria „s” oznacza modyfikacje „wewnątrz” urządzenia, które przyczyniają się do poprawy jego wydajności. Do tej pory „eski” wyglądały niemal identycznie jak ich poprzedniki. Prawdopodobnie w przypadku nadchodzącej generacji będzie tak samo. Pojawiły się jednak plotki o możliwości wprowadzenia dwóch nowych wersji kolorystycznych. Mówi się, że nowe iPhone'y będzie można kupić także w kolorze różowym oraz różowego złota. Być może przyczyni się to do zdobycia przez Apple całkiem nowej grupy klientów. Przy okazji tego tematu warto wspomnieć, że nie zabraknie charakterystycznych fug antenowych, które wywołują wiele dyskusji na temat ich estetyki. Co więcej, obudowa wykonana ma być z tego samego aluminium, które wykorzystane zostało przy okazji produkcji Apple Watcha. Zastosowanie tego stopu potwierdziły analizy materiałowe. Aluminium serii 7000 jest o około 60% mocniejsze od powszechnie stosowanego, a przy tym

o wiele lżejsze. Ma to zapobiec ponownemu wystąpieniu afery bendgate. Z przeprowadzonych testów wynika, że nowe iPhone'y będą ponad dwa razy bardziej odporne na zginanie niż obecne modele. Urządzenia mają być także o 0,2 mm grubsze od swoich poprzedników. Oznaczałoby to, że nie byłyby one najmocniejszymi smartfonami na rynku – czym często chwaliło się Apple przy okazji premier nowych iPhone'ów. Większość akcesoriów zaprojektowanych dla obecnych modeli ma być kompatybilna z tegorocznymi modelami.

Pogłoski na temat premiery budżetowego modelu 6c są tak różne, że ich wiarygodność bliska jest zeru.

Jeśli chodzi o „wnętrze”, to nowe iPhone'y wyposażone mają być między innymi w nowy procesor oznaczony symbolem A9, 2 gigabajty pamięci RAM, 12 megapikselowy aparat umożliwiający nagrywanie filmów w rozdzielczości 4K oraz dodatkowy mikrofon, który przyczyni się do poprawy jakości dźwięku w nagrywanych filmach. Poza tym zastosowane zostaną nowe czujniki TouchID, które szybciej rozpoznawać będą linie papilarne oraz technologia Force Touch, która wykrywa siłę nacisku na ekran lub monitoruje wielkość powierzchni miejsca styku palca z ekranem i na tej podstawie ocenia tę siłę – zdania są na ten temat podzielone. Bez względu na sposób działania, rodzaj wywołanej funkcji zależy właśnie od przyłożonej do ekranu siły. Tym samym z jednego miejsca na wyświetlaczu można zainicjować więcej niż jedno działanie. Według najnowszych doniesień nowe modele iPhone'ów oferowane będą z pamięcią masową o pojemności 16, 64 i 128 GB, co sprzeczne jest z dotychczasowymi pogłoskami o tym, że Ap-

ple planuje zwiększyć minimalną pojemność do 32 GB. W sieci pojawiło się wiele zdjęć i filmów prezentujących zarówno obudowę, jak i poszczególne komponenty nowych iPhone'ów, na podstawie których analitycy próbują udowodniać zastosowanie tego czy innego rozwiązania. Nie jest jednak jasne, skąd pochodzą te części. Równie dobrze może okazać się, że są to fałszywe materiały.

Apple złożyło swoim podwykonawcom zlecenie wyprodukowania 85-90 milionów sztuk nowej generacji iPhone'ów. W takiej liczbie mają pojawić się one na rynku do końca bieżącego roku. Jest to rekordowe jak dotąd pierwsze zamówienie nowych smartfonów. W przypadku bieżącej generacji było to 70-80 milionów sztuk. Produkcja nowych modeli podobno już trwa. Większe wytwarza jedynie Foxconn, a mniejsze powstają w halach produkcyjnych zarówno tej firmy, jak i Pegatrona.

Jak wspomniano na początku, premiera nowych iPhone'ów ma odbyć się w drugim tygodniu września, prawdopodobnie w środę, 9. Sprzedaż ma rozpocząć się niemal dwa tygodnie później – 18 września.

Pozostaje jeszcze kwestia budżetowej wersji iPhone'a – modelu 6c. Pogłoski na temat jego premiery są tak różne, że ich wiarygodność bliska jest zeru. Jedni twierdzą, że pojawi się on we wrześniu wraz z opisywanymi wyżej modelami, a inni, że dopiero w 2016 roku. Ze względu na bardzo małą wiarygodność informacji, postanowiłem nie zajmować się tym tematem.

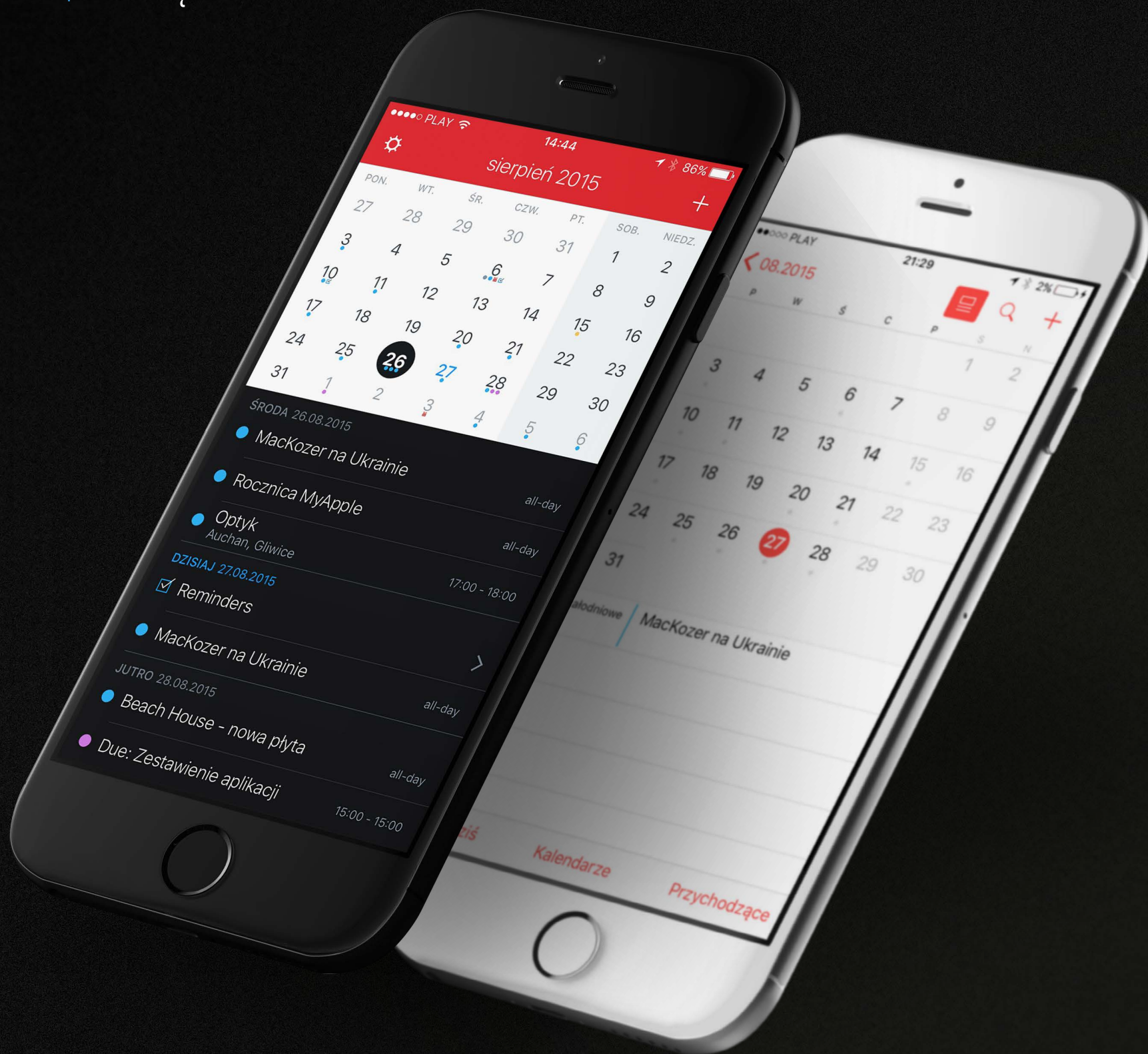
Zarówno wspomniane wcześniej zdjęcia, jak i przedstawione w tym tekście informacje, nie zostały w żaden sposób potwierdzone przez Apple. Należy więc dość ostrożnie podchodzić do kwestii związanej z ich wiarygodnością. Świat karmi się plotką.

Ilustracja - ideeconcept.pl

Zamienniki aplikacji Apple



Jacek Zięba



Jeden z moich ulubionych dziennikarzy technologicznych - Vlad Savov - zauważył, że zależnie od tego, czy korzysta z Androida, czy z iOS-a, różnie zarządza aplikacjami systemowymi. W przypadku systemu Google wiele tego typu programów trafia na pierwszy ekran smartfona. Z kolei gdy w jego ręce trafia iPhone, większość aplikacji Apple ląduje w folderze, do którego nigdy nie zagląda. Savov nie jest odosobniony w tego typu praktykach.

Przygotowałem dla Was kilka programów, które skutecznie mogą zastąpić aplikacje systemowe. Mam nadzieję, że przypadną Wam do gustu i docenicie ich możliwości znacznie przewyższające rozwiązania Apple.

Kalendarz i Przypomnienia — Fantastical

Fantastical to świetny program, który umożliwia nam zarówno obsługę Kalendarza, jak i Przypomnień. Od aplikacji Apple różni się przede wszystkim bardziej intuicyjnym oraz przyjemniejszym dla oka interfejsem, a także możliwością dodawania wydarzeń i zadań przy użyciu naturalnego języka. Wystarczy, że wpiszę „To do wynieść śmieci tomorrow at 12:30” lub „Urodziny Oli every year 12th June”, a program sam utworzy stosowne zadania albo wydarzenia.

Poczta - Spark

Systemowy klient poczty nie jest - w mojej opinii - najlepszym rozwiązaniem ze względu na nieprzemysłany interfejs oraz rozmaite problemy, które pojawiają się przy synchronizacji z serwerami. Sam przez ostatnie lata testowałem różne rozwiązania - zarówno prosty Inbox od Google, jak i zaawansowany Dispatch. Od kilku miesięcy moim numerem jeden jest jednak Spark. Aplikację tę wyróżnia nietuzinkowa warstwa wizualna, intuicyjne menu oraz podział maili na osobiste i z newsletterów. Dodatkowo program cechuje się obsługą przydatnych gestów oraz inteligentnymi powiadomieniami, które nie będą zakłócać naszego spokoju, jeżeli otrzymamy nieistotny mail.

Kalkulator - PCalc

Systemowy kalkulator to bardzo przydatne narzędzie do prostych obliczeń. Gdy szukamy

bardziej zaawansowanego rozwiązania, możemy pomyśleć o PCalc. Aplikacja ta przyniesie nam niezliczoną liczbę funkcji, a ponadto wśród konkurencyjnych rozwiązań wyróżnia ją pełna możliwość dostosowania interfejsu. Sam od czasu matury z matematyki nie wykonuję naukowych obliczeń, ale dzięki PCalc mogę na przykład szybko przeliczyć złotówki na inną walutę.

Wideo - VLC

Systemowa aplikacja do oglądania filmów nie należy do najlepszych rozwiązań w swojej klasie. Na szczęście w App Store znajdziemy program VLC, który umożliwi nam dodanie napisów do odtwarzanego wideo, a już wkrótce pozwoli na połączenie z Chromecastem. Jeżeli już teraz chcecie sparować Wasze urządzenia ze wspomnianą wyżej przystawką od Google, to koniecznie sięgnijcie po program Plex. Pozwoli on na szybką konfigurację i swobodne udostępnianie filmów na telewizor.

Pogoda - WeatherPro

Od czasu rozpoczęcia współpracy z Yahoo! systemowa aplikacja Pogoda jest nie tylko ładna, ale i pokazuje dość wiarygodną prognozę na najbliższe dni. Nie jest to jednak narzędzie, które usatysfakcjonuje osoby szukające bardziej zaawansowanych rozwiązań, dzięki którym uzyskają podgląd map, ciśnienia i innych aspektów związanych z aurą. WeatherPro to najlepszy program w swojej klasie, a liczba danych, które nam serwuje, powinna zadowolić nawet największych miłośników meteorologii.

Mam nadzieję, że wśród wymienionych wyżej programów znajdziecie ciekawe rozwiązania. Czasem warto poświęcić kilka dolarów na zakup bardziej zaawansowanej aplikacji, ale potem czerpać radość z korzystania z niej.

Ilustracja - ideeconcept.pl; mockup iPhone'a - Castle.co



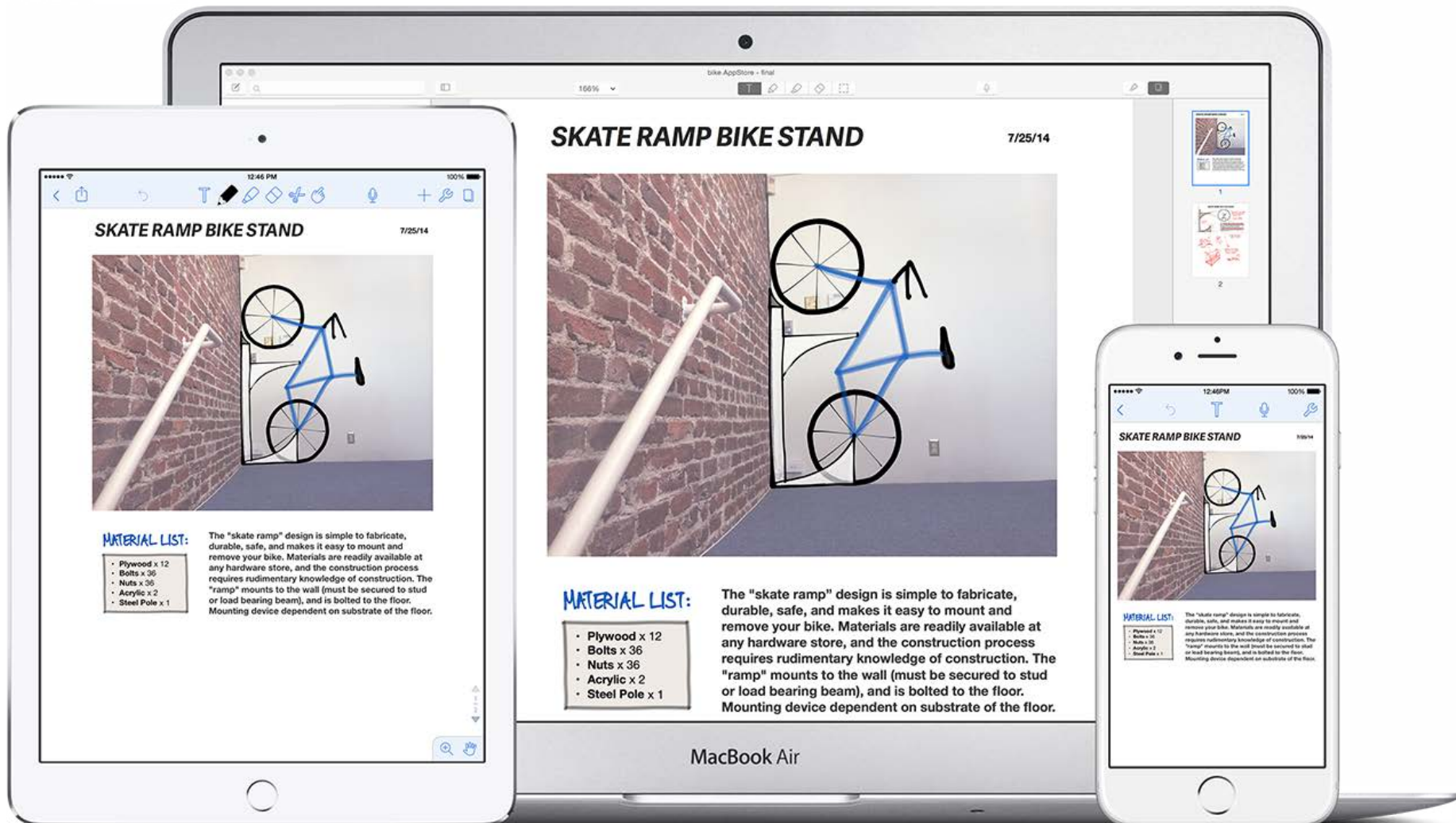
Wróć do szkoły z dobrym oprogramowaniem



Jacek Zięba



Już niedługo w szkołach zabrzmie pierwszy dzwonek, a kilka tygodni później na uczelnie powrócą studenci. Trudom nauki warto wyjść naprzeciw nie tylko z otwartym umysłem i pozytywnym nastawieniem do ciężkiej pracy, ale i z wykorzystaniem nowoczesnych technologii. Oprogramowanie na Maca, iPhone'a i iPada może znacznie ułatwić nam organizację pracy i skuteczne zaliczenie kolejnego etapu naszej edukacji.



Notability

Nie jestem zwolennikiem pisania odręcznego na iPadzie, sam zdecydowanie bardziej preferuję korzystanie z klawiatury lub po prostu z tradycyjnego długopisu i kartki. Jestem jednak pewien, że dla wielu użytkowników połączenie ekranu iPada i stylusa to najlepsze rozwiązanie. Uzupełnieniem tego zestawu będzie świetny program Notability, który umożliwia tworzenie notatek, dodawanie do nich zdjęć i wykresów, a także wygodne katalogowanie wszystkich arkuszy. Aplikacja jest dostępna zarówno na komputery Mac, jak i urządzenia mobilne Apple.

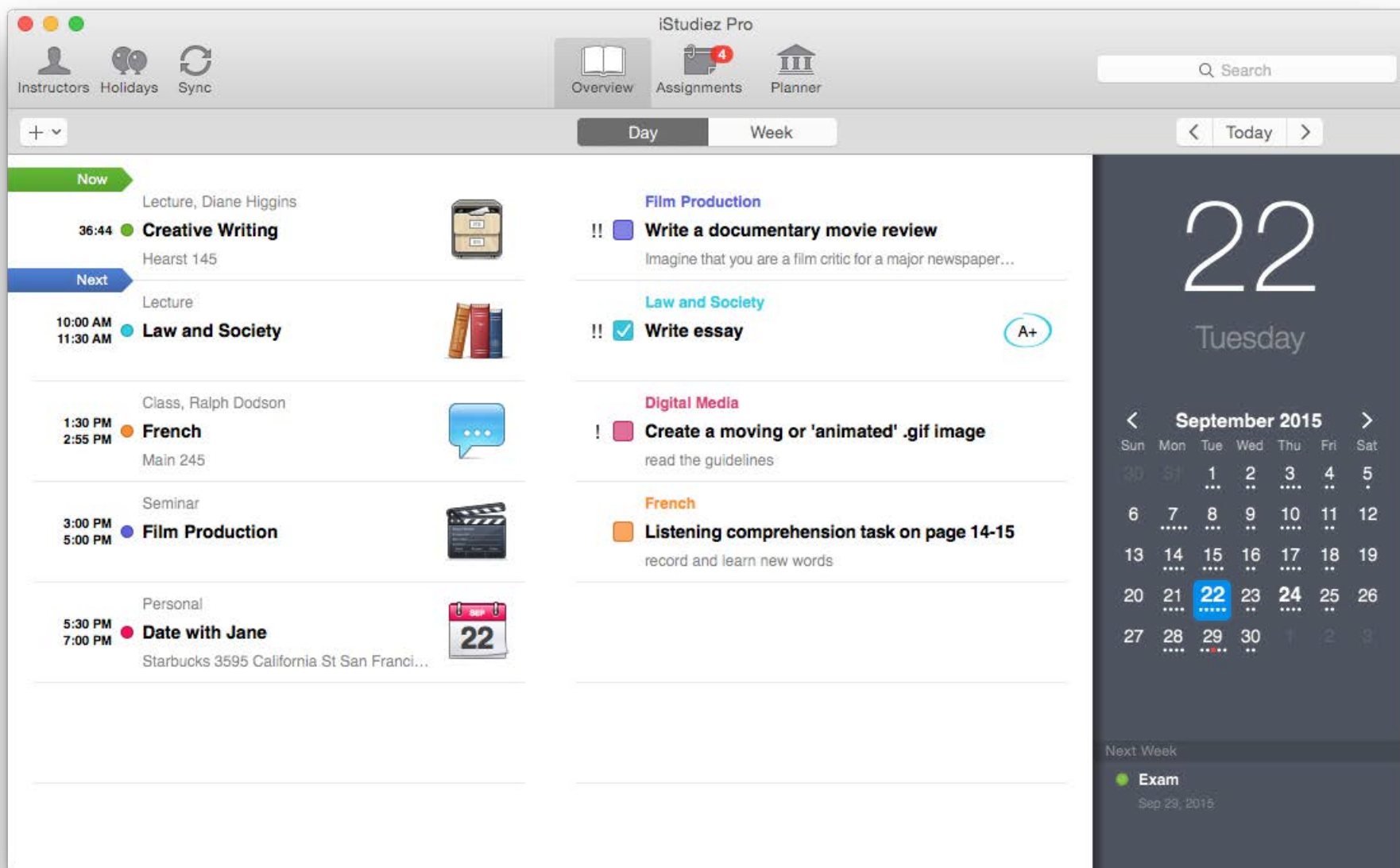
iLeksyka

iLeksyka to najlepszy tłumacz angielsko-polski i polsko-angielski dostępny w App Store. Od podobnych rozwiązań wyróżnia go ogromna baza słów, tryb offline i... brak aktualizacji

od trzech lat. Rozciągnięty interfejs programu niestety nie wygląda dobrze i pozostaje mieć nadzieję, że twórcy niedługo go odświeżą. Warto dodać, że iLeksyka oferuje dodatkowe pakiety ze specjalistycznymi słówkami związanymi z chemią, biznesem czy techniką. Każdy z nich jest niestety dodatkowo płatny.

PCalc

O kalkulatorze naukowym Jamesa Thomsona piszę już drugi raz w tym numerze, ale również przy tematyce edukacji nie sposób go nie polecić. PCalc to najbardziej zaawansowany program do obliczeń w App Store i Mac App Store, a co więcej - w pełni konfigurowalny. Z pewnością przyda się każdemu, kto wykonuje zarówno proste, jak i zaawansowane obliczenia. Jego jedyny minus to brak funkcji kalkulatora graficznego w postaci podglądu wykresu funkcji. Większości osób nie powinno to jednak przeszkadzać.



iStudiez Pro

iStudiez Pro to aplikacja priorytetowa dla każdego ucznia i studenta. Pozwala nam na obsługę kalendarza i zapisywanie zadań. Ponadto umożliwia użytkownikom tworzenie planu lekcji i zapisywanie ocen. Interfejs programu został zaprojektowany tak, abyśmy mogli w wygodny sposób zorganizować swoje obowiązki. Dzięki dostępności na systemy OS X i iOS oraz szybkiej synchronizacji przez serwery deweloperów wszystkie notatki i przypomnienia możemy mieć zawsze przy sobie.

EleMints: Periodic Table

Ta aplikacja to najbardziej zaawansowany układ okresowy pierwiastków dostępny w App Store. Z całą pewnością program przyda się zarówno uczniom na szkolnych

lekcjach chemii, jak i studentom wielu kierunków powiązanych z tą dziedziną nauki. Warto dodać, że twórcy aplikacji przygotowali również jej darmową, ale i uboższą wersję. Sprawdzi się ona jednak tylko na poziomie gimnazjalnym.

Mam nadzieję, że wśród powyższych aplikacji znajdziecie rozwiązania, które przydadzą się Wam w szkole lub na uczelni. Warto skorzystać z osiągnięć nowych technologii i wspomóc się oprogramowaniem, które ułatwi nam dostęp do wiedzy oraz organizację licznych obowiązków.

Fotografia: Radek Szwarz
Ilustracje: Materiały promocyjne deweloperów



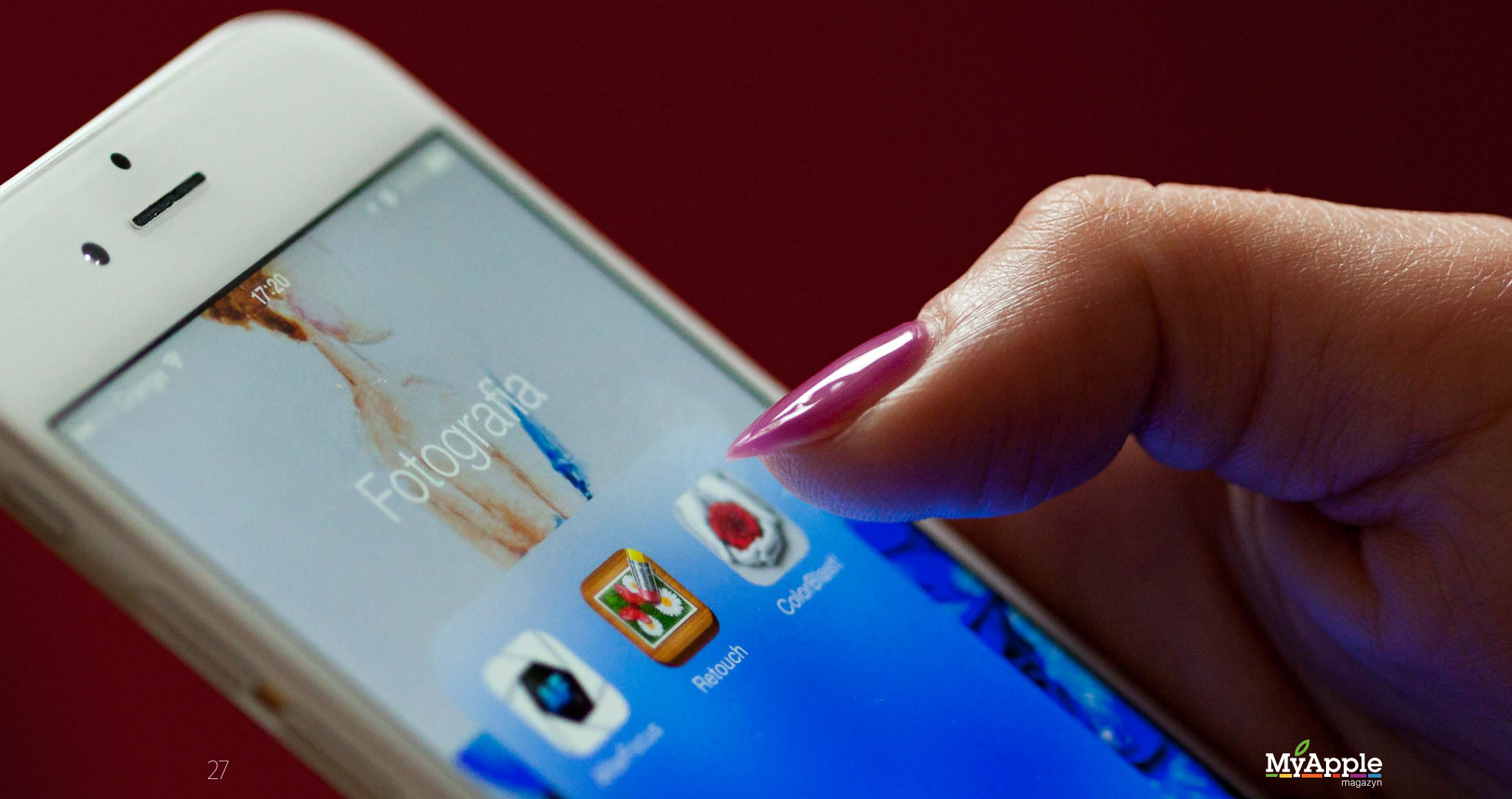


Mniej znaczy więcej



Kinga Zielińska

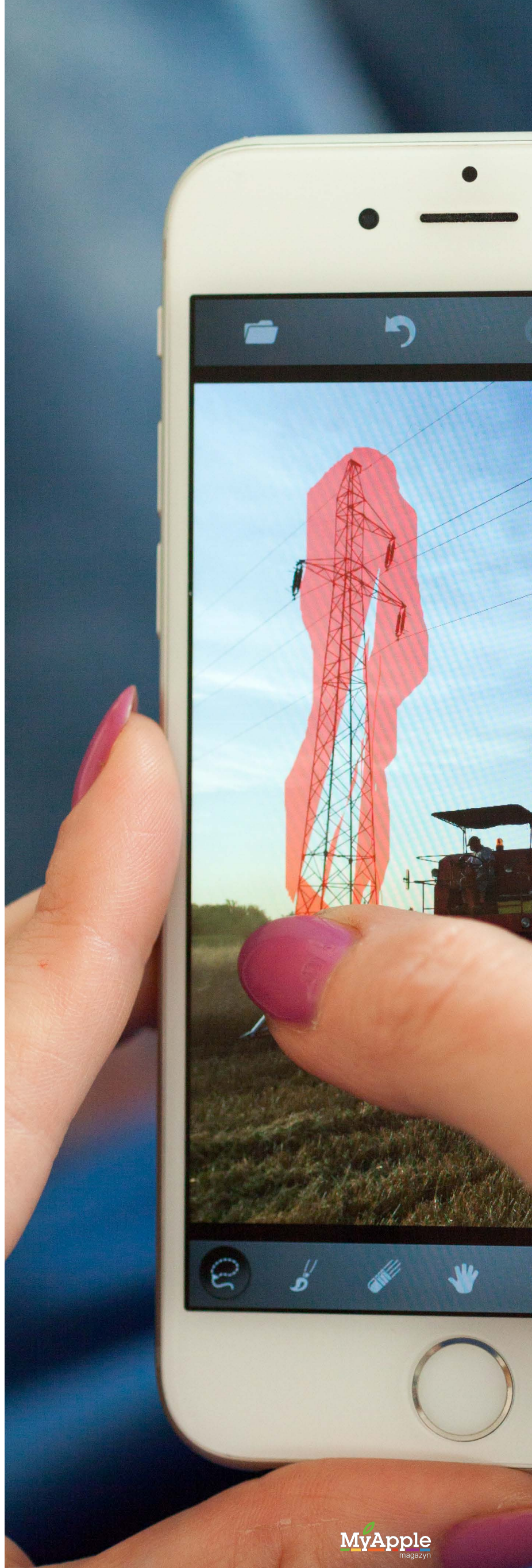
Sezon ogórkowy w pełni, jak zwykle o tej porze roku wokół jest leniwie - urlopowicze walczą o miejsca na plaży, ci, którzy muszą pracować - o klimatyzację, a gadzeciarski świat skupia się na domysłach, wróżbach i spekulacjach dotyczących wrześniowej prezentacji Apple.



Również aparat kolejnego iPhone'a nie uchronił się przed plotkami. Jedni mówią o większej rozdzielczości, inni o nagrywaniu 4K ze slow-motion 240 fps, a jeszcze inni marzą o podwójnym obiektywie (refocus po zrobieniu zdjęcia wraz z płytszą głębią ostrości) i rozmaitych innych cudёнkach. Przeglądam, czytam, zapominam i spokojnie czekam na to, co faktycznie pokaże nam Apple, a w międzyczasie - dzięki dostępnym w App Store aplikacjom - edytuję zdjęcia w ten sposób, aby wyglądały tak, jakby były zrobione czymś znacznie bardziej zaawansowanym niż obecny aparat tego smartfona. Chciałabym zatem przedstawić Wam kilka z tych, których używam w swojej codziennej zabawie z fotografią.

Wybrałam trzy małe rozmiarem, ale wielkie duchem aplikacje, z których każda robi tylko jedną rzecz, ale robi ją doskonale. Mowa o AfterFocus, TouchRetouch i Color Blast.

Pomyślałam przy tym, że nie będę kolejny raz opisywać kombajnów pokroju Snapseed, Camera+, Enlighta czy równie popularnych VSCO i DayOne (a nie, to nie ta działka), bo napisano o nich już chyba wszystko. Wybrałam za to trzy małe rozmiarem, ale wielkie duchem aplikacje, z których każda robi tylko jedną rzecz, ale robi ją doskonale. Mowa o AfterFocus, TouchRetouch i Color Blast. Pierwsza z nich nadaje zdjęciu efekt głębi ostrości rodem z lustrzanki, ułatwiając ekspozycję jego tematu, druga prawie jak Photoshop pozwala wykarczować bałagan z tła, a trzecia - bazując na podobno niemodnym już efekcie - pozwala kreatywnie przetransformować kolorystykę obrazu. Zatem smartfony w dłoń.

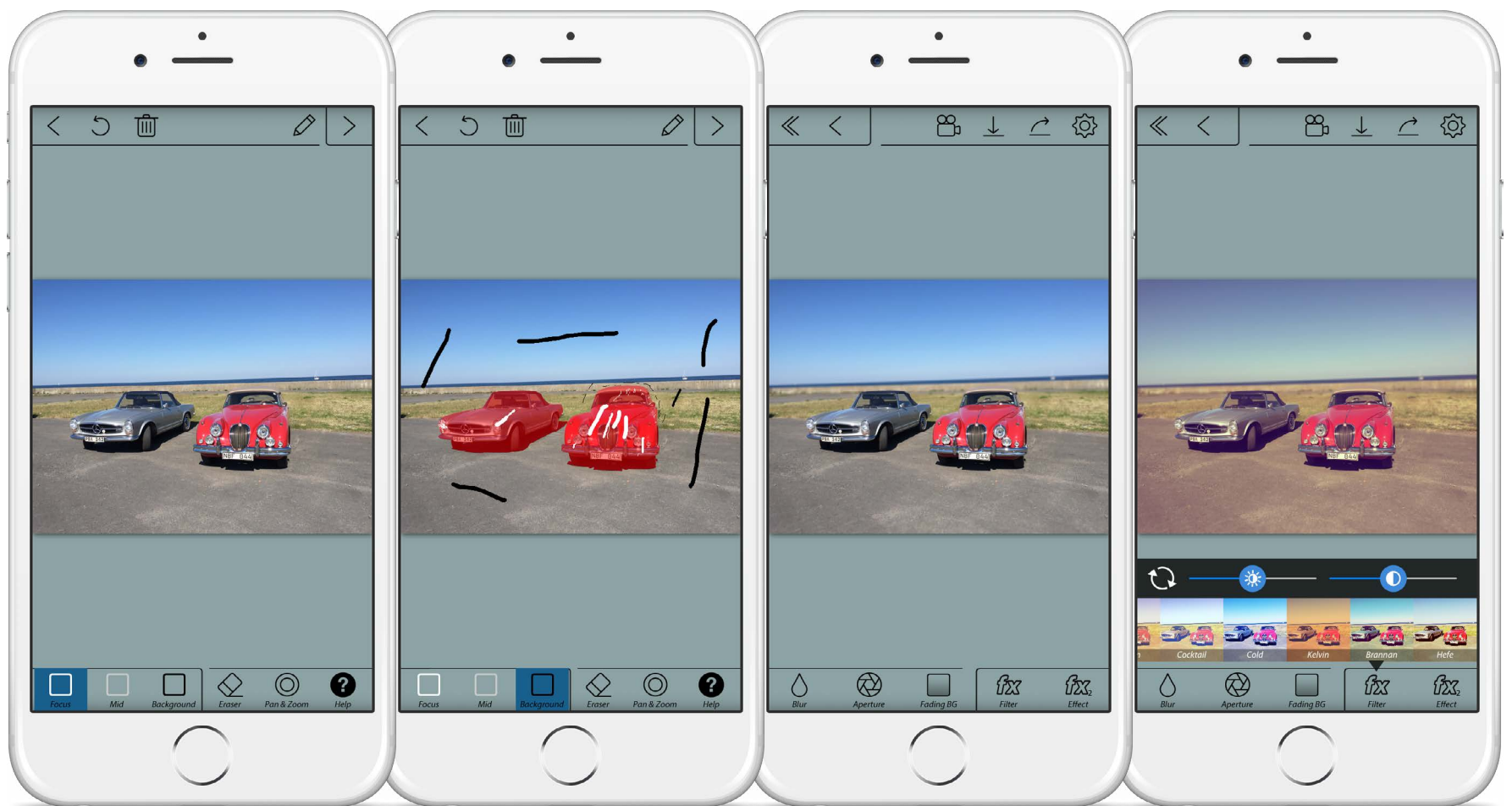




AfterFocus



Jego głównym zastosowaniem jest skupienie głębi ostrości na wybranym temacie zdjęcia. Wiele innych aplikacji oferuje podobny efekt, znany pod nazwą „rozmycie soczewkowe” albo „tilt shift”. Jednak tylko ta pozwala nam wybrać, co jest tematem zdjęcia, a co nie, czyli zaznaczyć ręcznie ostrość poszczególnych planów. Możemy też skorzystać z trybu „double photo”, który automatycznie przypisze ostrość do elementów zdjęcia na podstawie wykonania dwóch ujęć. Dodatkowo aplikacja ma wbudowanych kilka ciekawych filtrów, które dobrze komponują się z tym efektem. Zobaczmy wspólnie, jak łatwo użyć jej w praktyce.



1. Otwieramy zdjęcie, wybieramy „Focus” i zaznaczamy temat zdjęcia (czyli dwa stare auta) poprzez narysowanie na nim białych kresek. Aplikacja na bieżąco sygnalizuje nam czerwonym wypełnieniem, które obszary zostały przez nią uznane za plan podstawowy, czyli ten, który w docelowym zdjęciu będzie ostry.

2. Przełączamy się na „Background” i zaznaczamy czarnymi kreskami pożądane tło, które docelowo zostanie rozmyte. Jeśli temat z punktu poprzedniego straci przez to czerwone zabarwienie, powiększamy zdjęcie dwoma palcami (albo włączamy tryb „Pan&Zoom”) i robimy dokładniejsze kreski wokół wybranego motywu tak, aby nie stracił zaznaczenia. Białe tam, gdzie ma być ostro, czarne w miejscach rozmycia. Proces ten kontynuujemy tak długo, aż uzyskamy zadowalającą strukturę zaznaczenia.

3. Wskazujemy „>” (prawy górny róg) i sprawdzamy wynik naszej pracy. Jeśli nas zadowala, czas na odrobinę kosmetyki. W zakładce

„Fading BG” u dołu ekranu wybieramy Natural (liniowe zanikanie tła wraz z odległością od widza), a suwak „Blur” ustawiamy tak, by finalne zdjęcie wyglądało jak najbardziej naturalnie. Do tego dokładamy filtr „Vintage” i mamy styl zdjęcia nawiązujący do jego tematu (samochody z lat 50).

W ostatnich dniach pojawiły się plotki, jakoby Apple miało wprowadzić w aparacie iPhone’a 6S dwie soczewki ustawione pod kątem, które miałyby sprzętowo nadawać zdjęciu taki efekt na życzenie. Czas pokaże, jak będzie naprawdę. Aplikacja posiada oczywiście wiele innych ustawień i opcji, zachęcam Was gorąco do ich eksplorowania i testowania na własnych zdjęciach.

AfterFocus firmy MotionOne dostępny jest:

 na iOS-a

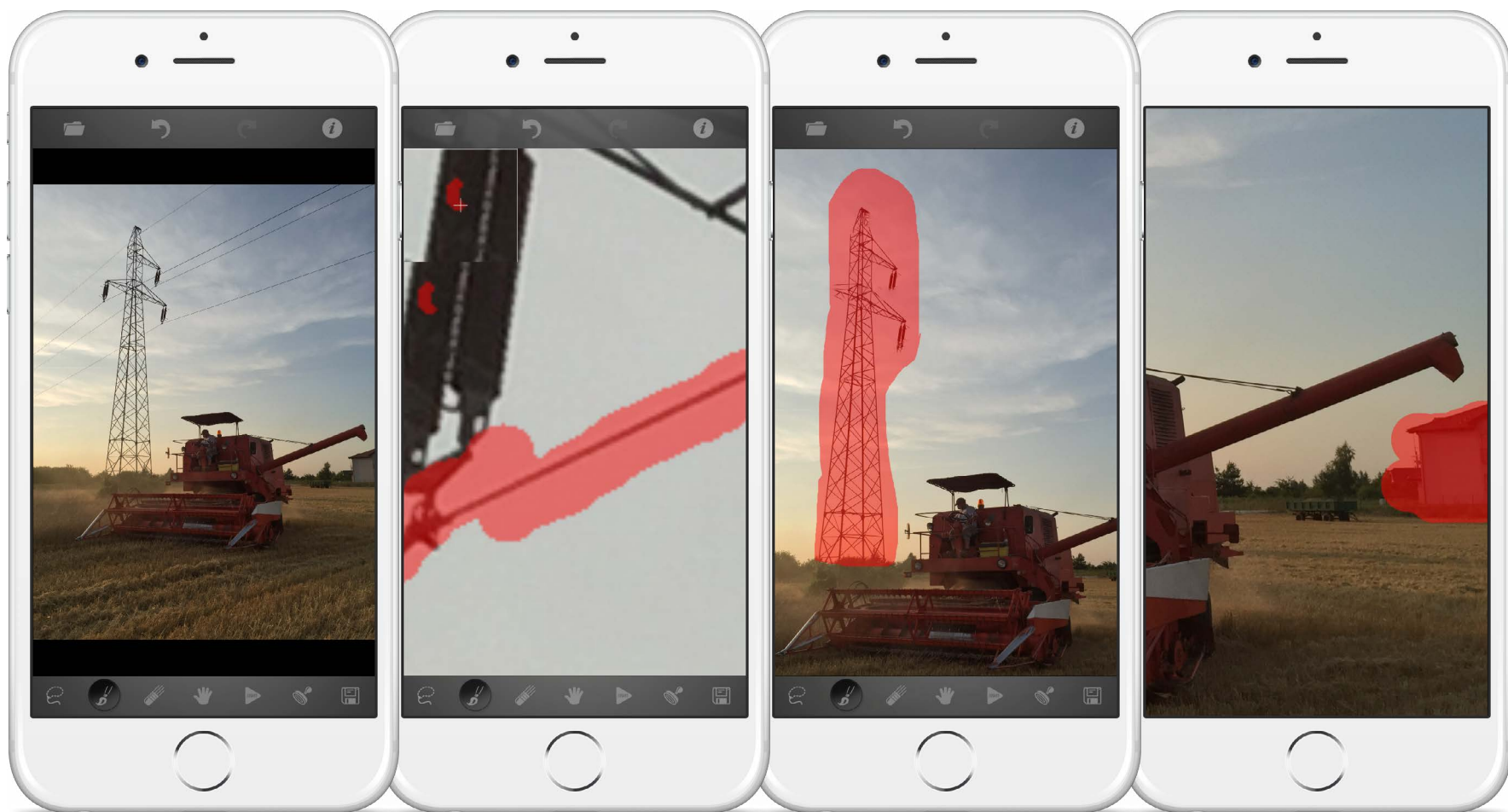
 na Androida.



TouchRetouch



Czy zdarzyło się Wam zrobić zdjęcie, które według Was jest piękne i niby wszystko na nim pasuje, ale... no właśnie, coś jednak przeszkadza. Czasem są to przewody, brzydki rysunek na ścianie czy też były chłopak obok nas. Osobiście nie usuwałam jeszcze ze zdjęć bliskich, ale bohaterów trzeciego planu jak najbardziej. Na platformach stacjonarnych funkcja usuwania obiektów - jako dość podstawowa - dostępna jest w wielu „dużych” pakietach graficznych, z kolei w przypadku systemów mobilnych lukę tę godnie wypełnia właśnie TouchRetouch firmy Adva Soft. Sprawdźmy zatem, jak usunąć ze zdjęcia kilka niechcianych obiektów, takich jak słup elektryczny i druty.



1. Wybieramy pędzelek, którym zaznaczamy obiekt do usunięcia (druty). Możemy regulować jego grubość, co jest bardzo przydatne przy małych szczegółach. W razie potrzeby zdjęcie przesuwamy, powiększamy lub zmniejszamy standardowo za pomocą dwóch palców lub włączamy tryb ręki (4. ikonka od lewej w dolnym menu).

2. Po zaznaczeniu drutów dotykamy trójkątka „Start”, czary-mary i niechciane elementy znikają.

3. Teraz czas na słup. Wydawałoby się, że to najgorsze, bo trzeba zaznaczyć każdy jego element. Ale niekoniecznie, ponieważ możemy wybrać „Lasso” i obrysować nim cały słup, a program wówczas automatycznie nałoży w tym miejscu tło pasujące do reszty.

Co by tu jeszcze usunąć? Może ten mały domek z prawej? A proszę bardzo.. Teraz wystarczy wyretuszować efekt w innych aplikacjach do obróbki zdjęć i mamy gotowego samego gospodarza na jego stalowym rumaku.

TouchRetouch może też klonować fragmenty obrazu w inne miejsca - służy do tego narzędzie stempla. Dostępne w nim opcje pozwalają wpływać na tryb klonowania, sposób nakładania obrazu i nakładać przekształcenia geometrii.

Zdecydowanie jest to aplikacja, którą możemy zmienić rzeczywistość. W natłoku programów, które dodają elementy do zdjęć, ta usuwa je, pozwalając zachować temat zdjęcia bez zbędnych rozpraszaczy. Funkcja usuwania znajduje się też w innym kombajnie tego samego producenta - HandyPhoto - ale jeśli nie są nam potrzebne wodotryski typu filtry, tekstury i ramki, warto sięgnąć właśnie po TouchRetouch.

TouchRetouch dostępny jest:

 na iOS-a

 na Androida

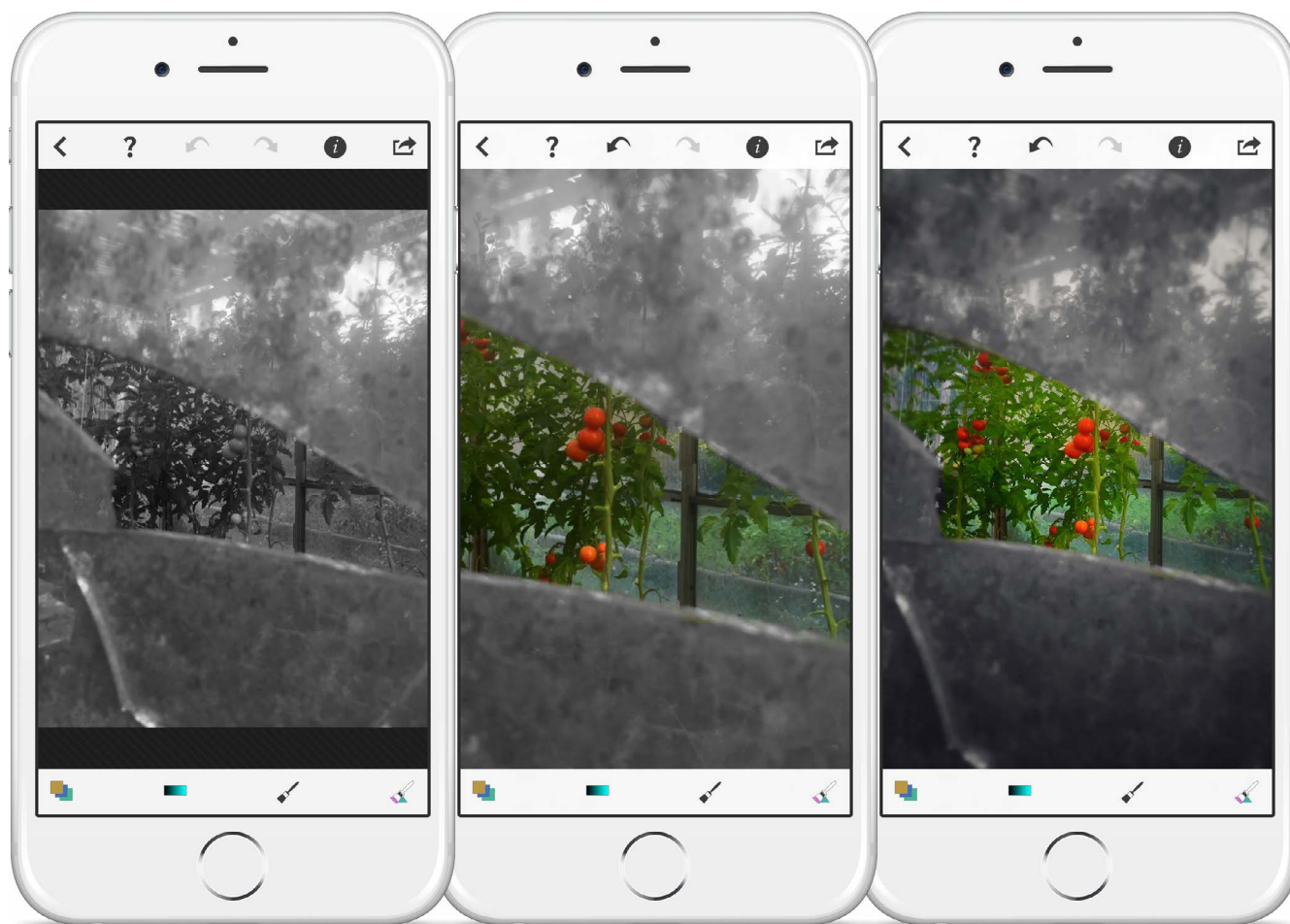
 na Windows Phone



Color Blast



Ostatnia aplikacja, którą chciałabym Wam przedstawić, pozwala uzyskać tzw. efekt color splash, polegający na tym, że jakiś wybrany element zdjęcia pozostaje kolorowy, a cała reszta utrzymana jest w określonym odcieniu monochromatycznym (zazwyczaj czarno-białym). To kolejna mała aplikacja, która robi jedną rzecz, ale za to dobrze, bez zbędnych fajerwerków. Czas zatem na praktykę.



1. Zaskoczę Was, ponieważ na początku również wybieramy zdjęcie do edycji. Od razu rzuca się w oczy to, że cały obraz robi się czarno-biały.

2. Następnie wybieramy z dolnego menu pędzelek i zaznaczamy nim obszar, który ma pozostać kolorowy.

3. W mocy pozostają tu zasady powiększania i przesuwania przedstawione przy poprzednich aplikacjach.

Efekt działania jest natychmiastowy. Podrasowujemy go wg uznania przy pomocy suwaków z górnego menu potencjometrów i zapisujemy.

Color Blast firmy East Coast Pixels [dostępny jest na iOS-a](#)

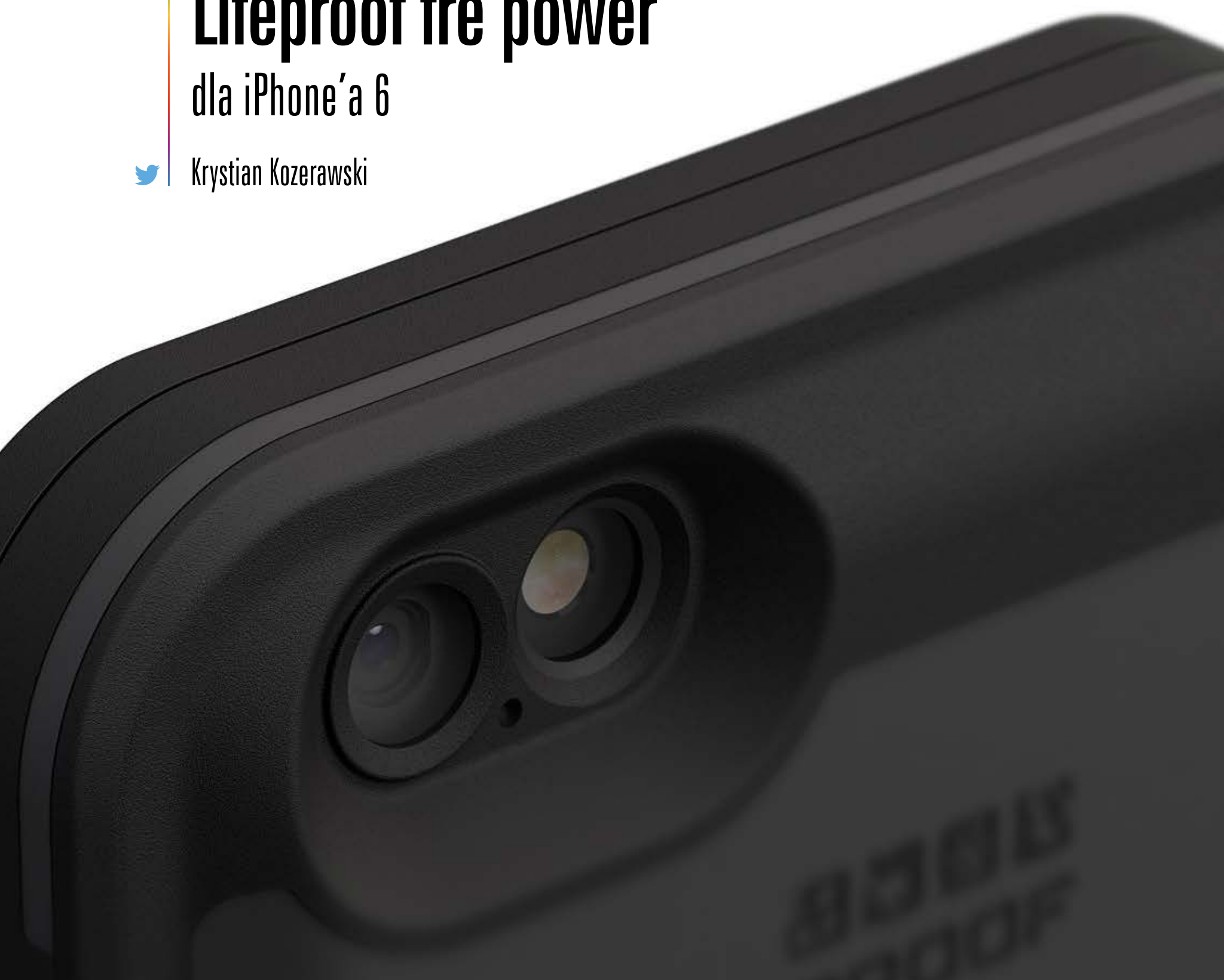
Największym wyzwaniem i sukcesem każdego fotografa jest zrobić takie zdjęcie, które samo z siebie uzasadni swoje istnienie, samo opowie swoją własną historię, uczyni słowa zbędnymi. I czasem ta trudna sztuka udaje się każdemu z nas. Są jednak przypadki, w których warto i trzeba nieco fotografii pomóc, zaakcentować pewne jej cechy i atuty, uwypuklić elementy, na które chcemy zwrócić największą uwagę, a w tło schować wszystkie inne. Jakże więc aktualne w przypadku fotografii wydaje się być credo minimalizmu Ludwiga Mies van der Rohe „Mniej znaczy więcej”. W osiągnięciu tego celu mogą nam właśnie pomóc opisane wyżej aplikacje, które swoją prostotą nie odciągają naszego procesu twórczego w stronę technikaliów, pozwalając skupić się na prostym i minimalnym komunikacie, który przecież pragniemy zawrzeć w każdej naszej fotografii.

Ilustracje:
1,2 - fotografie Marcina Kosmowskiego
pozostałe - ikony i screenshoty opisywanych aplikacji

Lifeproof frē power

dla iPhone'a 6

🐦 Krystian Kozerawski



Akcesoria marki Lifeproof są mniej lub bardziej Wam znane. Recenzowałem już na blogu pancerze [Lifeproof Nuud](#) oraz [Lifeproof frē](#). Ten ostatni zapewnia możliwie najlepszą ochronę nie tylko przed uszkodzeniami mechanicznymi spowodowanymi uderzeniami, ale także przed pyłem, piachem i wodą. Świetnie nadaje się więc zarówno na wyjście na plażę, jak i na różnego rodzaju wyprawy w miejsca, w których iPhone bez tego typu osłony mógłby szybko ulec uszkodzeniu.



Sytuacje takie nietrudno sobie wyobrazić, może to być spływ kajakowy (czy innym typem łodzi), biwak, wyprawa w leśne ostępy (i nie chodzi mi tu o park pod miastem). I w takich warunkach Lifeproof frē niejednokrotnie ratował iPhone'owi życie i zabezpieczał przed uszkodzeniem. Jednakże na wyprawach z dala od cywilizacji, a choćby i pod namiot nad jezioro, pojawia się kolejny problem - zwykle brakuje zasilania elektrycznego. Mamy oczywiście zewnętrzne baterie, ale to oddzielny temat, do którego zresztą niedługo powrócę. Pancierz Lifeproof frē zaś chronił przed wszystkimi zagrożeniami wynikającymi z warunków otoczenia, ale nie przed jednym - wyczerpaniem się energii w baterii iPhone'a. Produ-

cent miał tego świadomość, dlatego na rynku pojawił się nowy model tego świetnego akcesorium - Lifeproof frē power.

Nowy pancierz pod wieloma względami nie różni się od tego już przeze mnie recenzowanego. Mamy więc mocną, wodoszczelną, wykonaną z twardego plastiku obudowę, złożoną z dwóch elementów: frontu i tyłu, łączących się szczelnie na bokach.

Przednia część wyposażona jest oczywiście w grubą folię chroniącą ekran wraz z panelem przednim i przyciskiem Home z Touch ID. W przypadku tego ostatniego użyto miękkiej folii, która pozwala na wygodne skanowanie linii papilarnych.



Skuteczne zabezpieczenie ekranu w przypadku tego typu pancerzy jest niestety zwykle okupione pewnym pogorszeniem wygody korzystania z urządzenia. Folia ochraniająca przedni panel z wyświetlaczem nie przylega do niego szczelnie, nie jest też na niego naklejana. Przy korzystaniu z ekranu dotykowego iPhone'a zamkniętego w tej obudowie wyczuwa się przestrzeń dzielącą szybę iPhone'a i wspomnianą już folię. Trzeba więc mocniej naciskać na elementy wyświetlane na ekranie. Folia nie posiada też specjalnie dobrych właściwości pochłaniania światła. W ostrym słońcu trudniej jest zobaczyć to, co wyświetlane jest na ekranie, m.in. dlatego, że światło odbija zarówno folia, jak i szyba w iPhone.

Obudowa w pełni zamkniętej formie nie posiada właściwie żadnego otworu (z wyjątkiem specjalnego wyprowadzenia głośników i mikrofonu) dającego dostęp do iPhone'a wodzie, pyłowi czy innym substancjom. Posiada własne przyciski regulacji natężenia dźwięku, usypiania oraz przełącznik wyciszania. Z tym ostatnim mam czasami problem. Muszę odpowiednio go ustawić podczas umieszczania iPhone'a w obudowie, tak by później można było go użyć.

Zamknięte wodoszczelną klapą jest także gniazdo ładowania, a gniazdo mini jack - podobnie jak w innych modelach - specjalną, nieprzepuszczającą wody i pyłu śrubą. W zestawie znalazł się odpowiedni krótki przedłużacz, wkręcany w to właśnie miejsce, pozwalający do tak zabezpieczonego iPhone'a podłączyć normalne słuchawki.

Dotąd różnic względem Lifeproof frē właściwie nie wymieniłem. Najważniejsza to tylna część całego pancerza. Tak jak przednia, wykonana jest z tego samego mocnego plastiku zabezpieczającego urządzenie przed skutkami upadków, otarć oraz wspomnianymi już różnymi czynnikami zewnętrznymi. Jest ona jednak wyraźnie grubsza, gdyż producent ukrył w niej baterię o pojemności 2600 mAh, która pozwala naładować baterię iPhone'a 6 do pełna. Faktycznie bateria ukryta w tym pancerzu naładowała mojego iPhone'a od 2 do 99%. Pojemność Lifeproof frē power nie jest jednak zbyt duża. Po jednorazowym ładowaniu iPhone'a 6 do pełna zapas dodatkowej energii ulega wyczerpaniu. Biorąc jednak pod uwagę fakt, że sam iPhone 6 wytrzymuje bez problemu 24 godziny na jednym ładowaniu, to zabezpieczony takim pancerzem pozwoli nam przynajmniej przez dwa dni obyć się bez dostępu do sieci elektrycznej na jakiejś wyprawie w nieznane (na którą ja i tak wziąłbym kilka dodatkowych baterii zewnętrznych).

Tylna ściana zabezpiecza oczywiście także obiektyw aparatu iSight i lampę błyskową. Znalazły się na niej również wspomniane już szczeliny wyprowadzające dźwięk z głośnika oraz dające dostęp do mikrofonu. Jest też przycisk aktywujący wskaźnik poziomu energii we wbudowanej w akcesorium baterii, który pozwala także na rozpoczęcie ładowania znajdującego się w pancerzu iPhone'a.

Ze względu na wbudowaną baterię Lifeproof frē power różni się nieco od recenzowanej przeze mnie ponad pół roku temu wersji także znajdującym się wewnątrz gniazdem Lightning oraz pojawieniem się zewnętrznego gniazda microUSB służącego do ładowania iPhone'a, jak i samej baterii. Od dawna cenię sobie obudowy do iPhone'a z bateriami, które pozwalają mi korzystać z tańszych uniwersalnych kabli microUSB, których w domu mam przynajmniej kilkadziesiąt. Drogie kable Lightning leżą sobie bezpiecznie w szufladzie.

Obudowę testowałem w różnych warunkach, iPhone uzbrojony w pancerz Lifeproof frē power łądował między innymi w wodzie i w piachu. Oczywiście nic mu się nie stało - co nie jest dla mnie zaskoczeniem. Poprzednie obudowy także sprawdzały się świetnie w różnych warunkach.

Obudowę Lifeproof frē uznałem za jeden z najładniejszych tego typu panczerzy dla iPhone'a i zdanie to podtrzymuję także i w tym wypadku. Lifeproof frē power to jeden z najładniejszych panczerzy zabezpieczających iPhone'a przed uszkodzeniami. Jeśli zestawić go z zewnętrznymi bateriami dla iPhone'ów, to także nie wypada najgorzej.

Jeżeli szukacie odpowiedniej ochrony i dodatkowego źródła zasilania dla Waszego iPhone'a na wyjazd nad morze, w góry (np na narty), biwak lub wędrówki w nieznane, to Lifeproof frē power jest moim zdaniem obecnie najlepszym tego typu rozwiązaniem na rynku.

Ilustracje: materiały promocyjne producenta i fotografie z archiwum Autora



Przygody ze światem mobilnym:

wczesne lata



Steve Sande



W ostatnim numerze MyApple Magazynu czytelnicy mogli przeczytać moją krótką i osobistą historię - osoby, która korzystała z komputerów przed nadejściem ery PC. W tym opowiem o moich spotkaniach z urządzeniami mobilnymi, od programowalnych kalkulatorów po iPhone'a i iPada. W mojej wędrówce przez świat urządzeń mobilnych znajdziecie te, które znacie oraz takie, o których nigdy wcześniej nie słyszeliście.

Programowalne kalkulatory

Przypominam sobie grę, którą napisałem na HP-41CV. Gracz kierował w niej statkiem kosmicznym uciekającym przed obcymi. Musiał on wejść w „nadprzestrzeń”, aby się od nich uwolnić.

Wiercie mi lub nie, ale na Uniwersytecie Kolorado, kiedy w 1974 roku rozpoczynałem tam studia, nie można było używać kalkulatorów. Wszyscy studenci inżynierii lądowej i wodnej wyposażeni byli w suwaki logarytmiczne, ale większość z nas i tak posiadała pierwsze kalkulatory naukowe. Mój nie był markowy, nie pamiętam jego nazwy, wykorzystywał jednak tradycyjne operacje matematyczne. Wielu studentów, w tym moja przyszła żona, wybierało popularny w owym czasie kalkulator Hewlett-Packard HP-35. Do wykonywania operacji wykorzystywał on odwrotną notację polską (RPN), bazującą na pomysle polskiego logika i matematyka Jana Łukasiewicza. W tym czasie użytkownicy kalkulatorów HP wykorzystujących odwrotną notację polską (nie posiadających klawisza ze znakiem równości) oraz ci korzystający z kalkulatorów Texas Instruments z algebraicznym systemem operacyjnym toczyli ze sobą niemal religijną wojnę. Na szczęście mój kalkulator nie należał do żadnego z obozów, udawało mi się więc uniknąć najcięższych potyczek pomiędzy nimi.

W 1978 roku, kiedy uzyskałem tytuł inżyniera, większość z moich znajomych przesiadła się na programowalne kalkulatory. Początkowo zakochałem się w TI-59, przepięknym małym

kalkulatorze z wyświetlaczem LED, wbudowanym czytnikiem kart magnetycznych i możliwością wyposażenia go w drukarkę. Używałem go głównie do przeprowadzania różnych kalkulacji, potrzebnych w mojej pracy.



Pojawił się jednak inny programowalny kalkulator, który przykuł moją uwagę i przeciągnął mnie z obozu Texas Instrument do świata HP. Był to model HP-41CV. Tak jak TI-59, HP-41CV wyposażony był w czytnik kart magnetycznych. Można go było jednak usunąć, by zmniejszyć wagę i wielkość samego kalkulatora. Prawdziwą rewolucją w jego przypadku był ekran alfanumeryczny, dzięki któremu można było pisać programy, w tym takie, które prosiły użytkownika o wprowadzenie danych, a następnie wyświetlały rezultaty w zrozumiałej formie. Wielu inżynierów, z którymi współpracowałem, posiadało jeden z dwóch modeli tego kalkulatora - HP-41CV lub HP-41CX, stworzyliśmy nawet w naszej firmie „klub użytkowników komputerów podręcznych”.

Przypominam sobie grę, którą napisałem na HP-41CV. Gracz kierował w niej statkiem kosmicznym uciekającym przed obcymi. Musiał on wejść w „nadprzestrzeń”, aby się od nich uwolnić. Było to jednak uzależnione m.in. od siły ciągu silników, określonej przez użytkownika liczbą od 1 do 10 i kilku innych losowych czynników. Można było zdobyć



punkty lub zostać zniszczonym przez obcych. Patrząc przez pryzmat istniejących już wtedy gier zręcznościowych - moja była bardzo nudna.

Cyfrowe organizery

Kolejna rewolucja w świecie mobilnych komputerów zaczęła się wraz z pojawieniem się tzw. „cyfrowych organizatorów”. I choć większość z nich była tylko prostymi kalkulatorami (wykonującymi jedynie operacje dodawania, odejmowania, mnożenia i dzielenia) rozbudowanymi o kilka dodatkowych funkcji, oferowały coś, co można uznać za podstawę wszystkich urządzeń mobilnych, jakie miały się pojawić - możliwość przechowywania danych kontaktowych, kalendarzy i notatek. Korzystałem z kilku tego typu urządzeń, odkrywając, że większość z nich była bardzo trudna w obsłudze. Wciąż posiadam Casio BOSS SF-8000, typowy przykład takiego właśnie cyfrowego organizera.

Newton MessagePad

W 1992 roku do fanów Apple zaczęły dochodzić informacje o nowym produkcie tej firmy, którego premiera planowana była na sierpień 1993 roku - chodziło o Newton MessagePad. Aby rozbudzić emocje, Apple ujawniło prasie wiele informacji dotyczących tego, co będzie potrafić nowe urządzenie. Było to m.in. rozpoznawanie pisma ręcznego, pozwalające obejść się bez klawiatury oraz funkcja nazywana Newton Intelligence, która zamieniała pismo odręczne na łatwe do wykorzystania porcje informacji.

Newton Intelligence było prekursorem funkcji rozpoznawania informacji w Mac OS X i iOS. Kiedy więc napisałem „lunch z Krystianem, jutro w Big Bill’s NY Pizza”, Newton Intelligence utworzyłoby w kalendarzu spotkanie z Krystianem Kozerańskim, zaplanowane na dany

dzień i w godzinach, które określiłem w ustawieniach jako pora lunchu, w mojej ulubionej pizzerii.

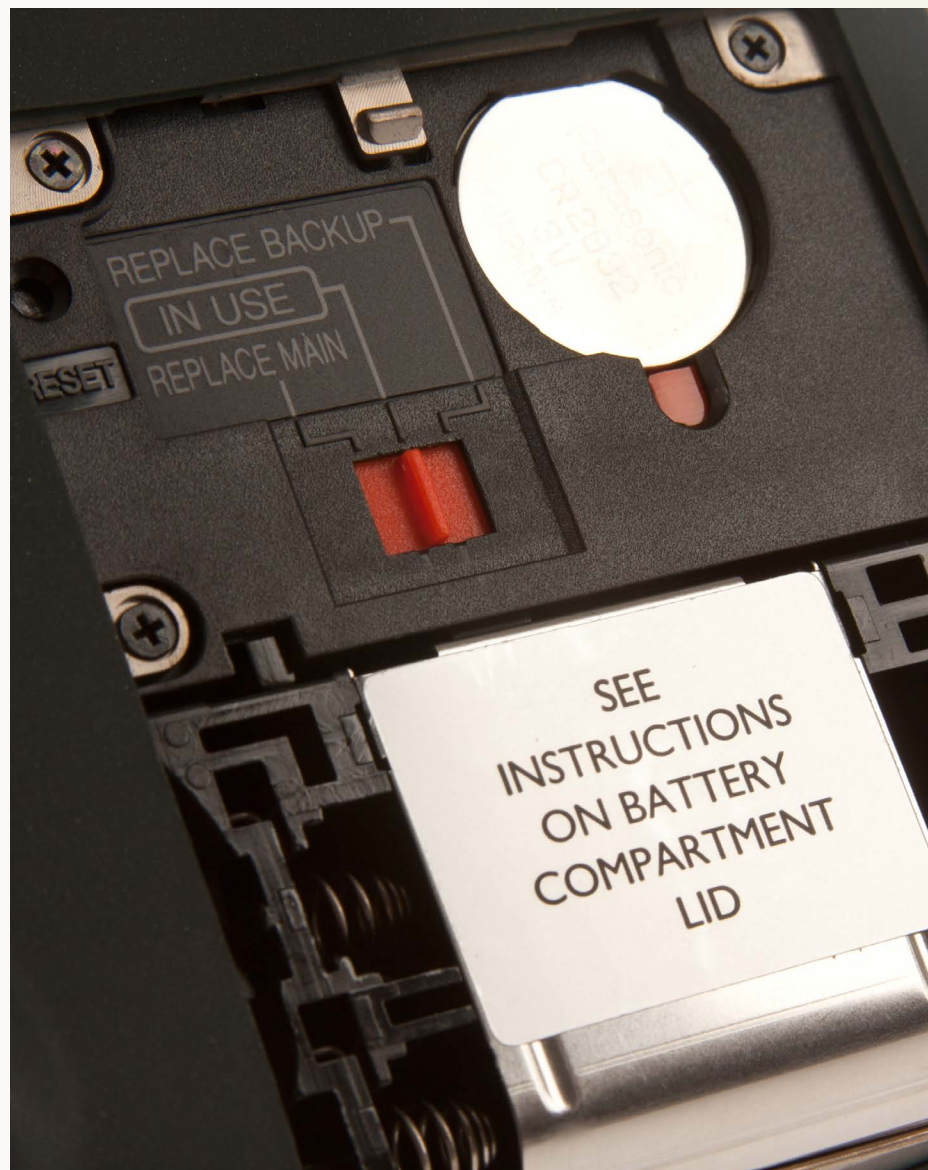
Byłem tak zafascynowany Newtonem, że kupiłem go podczas odbywających się w 1993 roku w Bostonie targów Macworld Expo, zaraz po tym, gdy pojawił się w sprzedaży. Zapisalem się także do otwartego przez Apple programu dla deweloperów. Zrobiłem to nie tylko dlatego, że byłem przekonany o tym, że potrafię programować, ale także dlatego, że w owym czasie Apple dawało 50% upust na sprzęt oferowany deweloperom zarejestrowanym w tym programie.

Od czasu pierwszego modelu (znanego jako MessagePad 100) po jego ostatnią wersję (MessagePad 2100) rozpoznawanie tekstu znacznie usprawniono. Zła opinia na temat tych urządzeń wryła się jednak w publiczną świadomość.

System operacyjny Newton OS posiadał swój własny język programowania - NewtonScript oraz zestaw narzędzi deweloperskich Newton ToolKit (NTK). Sam język programowania był wyjątkowy, jak i system plików nazywany „soup” używany przez to urządzenie. Tak jak jest to współcześnie w przypadku iOS tworzonego w Xcode, aplikacje pisane w NewtonScript musiały być tworzone na Macu i z tego komputera były przenoszone na Newtona. Bardzo trudno wynajdywało się w nich błędy i równie trudno było rozwiązać pojawiające się w aplikacjach problemy. Po kilku latach przysłowiowego walenia głową w mur,

kiedy próbowałem stworzyć proste aplikacje, w końcu się poddałem.

Newton był moim zdaniem niesprawiedliwie krytykowany za słabe rozpoznawanie tekstu odręcznego. Od czasu pierwszego modelu (znanego jako MessagePad 100) po jego ostatnią wersję (MessagePad 2100) rozpoznawanie tekstu znacznie usprawniono. Zła opinia na temat tych urządzeń wryła się jednak w publiczną świadomość.



Oczywiście nie oznacza to, że Newtony produkowane przez Apple, Sharp i Motorolę były idealne. Miały straszne problemy z długością pracy na baterii, ekrany bardzo łatwo się rysowały, a przy tym były strasznie drogie. Jednak w latach 1993 - 1998 używałem ich stale, namawiając innych ludzi do korzystania z tych urządzeń.

Jedną z rzeczy, które mogłem robić na Newtonie, było wysyłanie i odbieranie wiadomości e-mail w serwisie eWorld. Przypominam sobie dwie sceny z tej stosunkowo krótkiej epoki (później byłem w stanie używać innych programów pocztowych). Jedną, to gdy korzystałem z Newtona wyposażonego w kartę z modemem, łącznik akustyczny (urządzenie takie mogliście zobaczyć m.in. w filmie Gry Wojenne) i jeden z wczesnych telefonów komórkowych, po to by połączyć się bezprzewodowo z serwisem eWorld. Korzystałem też z tego samego akustycznego łącznika z modemem podczas mojej wyprawy do Europy w 1995 roku, by wysłać maile do współpracowników w Stanach Zjednoczonych. Nie było łatwo być pionierem mobilnej komputeryzacji, z pewnością jednak dawało to wiele radości.

Steve Jobs anulował całą linię Newtonów. Jako fan i orędownik Newtona byłem tak wkurzony, że nie kupiłem kolejnego Maca przez następne cztery lata.

Magic Cap

Będąc fanem Newtona, od czasu do czasu zmieniałem platformę, jeśli tylko coś bardziej intrygującego pojawiło się na rynku. Tak było z Motorolą Envoy, bezprzewodowym PDA, korzystającym z graficznego interfejsu użytkownika, przypominającym pokoje, w których wykonywane były różne zadania. System operacyjny tego urządzenia nazywał się Magic Cap. Instalowany był też na urządzeniu Sony Magic Link. Niestety wydajność montowanych w tych urządzeniach procesorów była zdecydowanie za mała w stosunku do stojących

przed nimi zadań, związanych m.in. z wyświetlaniem prostej grafiki na ekranie, stąd też były one strasznie powolne. Obraz ten dopełniają absurdalne w połowie lat 90. koszty bezprzewodowego internetu. Za 150 dolarów miesięcznie mogłem przestać kilka megabajtów z prędkością 300 bodów.

Na marginesie warto wspomnieć, że cały projekt platformy The Magic Cap prowadzony był przez Tony'ego Fadella, który w późniejszym czasie zyskał sławę jako twórca iPod'a i współzałożyciel Nest Labs, a który obecnie pracuje nad kolejną generacją Google Glass.

Podsumowanie

Jeden z dni w lutym 1998 roku nie należał do przyjemnych. Steve Jobs, który niedawno wrócił do Apple jako tymczasowy CEO, anulował całą linię Newtonów. Jako fan i orędownik Newtona byłem tak wkurzony, że nie kupiłem kolejnego Maca przez następne cztery lata. Ostatecznie jednak w 2007 roku, kiedy oglądałem Jobsa prezentującego pierwszego iPhone'a podczas targów Macworld Expo, wszystko zostało wybaczone.

Newton MessagePad przegrał nie dlatego, że był produktem pełnym wad, ale dlatego, że Apple nie było jeszcze na tyle dojrzałe, by wypuścić mobilne urządzenie, które byłoby stabilne, posiadałoby dobre środowisko tworzenia aplikacji oraz powszechnie dostępny sklep, w którym te ostatnie mogłyby być sprzedawane. Świat musiał także poczekać na to, aż sieci komórkowe zainwestują miliardy w stworzenie globalnej, cyfrowej sieci, która pozwoliłaby spiąć te wszystkie urządzenia.

Przyglądając się ewolucji mobilnych urządzeń rozumiałem dwie rzeczy, że zawsze jest coś lepszego tuż za rogiem i że mamy okazję żyć w nadzwyczajnym okresie historii ludzkości.

Ilustracje: Jonathan Zufi, <http://iconicbook.com>
Seth Morabito, Sven Petersen

Apple Store

kubek w kubek inny niż wszystkie

Max Pijanowski



Czy koniec wakacji może być dobrą wiadomością? Tak, zwłaszcza dla fanów marki Apple oczekujących wrześnie premiery nowych iPhone'ów, do czego w ostatnich latach przyzwyczała nas firma z Cupertino. Z perspektywy polskiego klienta, pozbawionego możliwości natychmiastowego zakupu tego smartfonu we własnym kraju, oznacza to automatyczne wydłużenie urlopu lub dodatkową wycieczkę za granicę. Czyli tak naprawdę powinniśmy podziękować za brak Apple Store w Polsce.

Jak długo iPada nazywamy iPodem, tak długo pracownik będzie opowiadał nam o zaletach 9,7 calowego iPoda

Rozpoczęcie sprzedaży nowych urządzeń nie jest jednak jedynym pretekstem do wizyty fanów Apple w sklepach tej marki. Nowy Jork, Londyn, Paryż? Sweetfocia ze Statuą Wolności, Big Benem i Wieżą Eiffla wykonana iPhone'm to obowiązkowy element odwiedzin, jednak prawdziwy fanboy firmy nie zapomni także o wizycie w lokalnym Apple Store. Ja przynajmniej tak robię, tak po prostu, bo przecież ile iPhone'ów można kupić w ciągu roku? Przypomina to w pewnym stopniu wyjazdy naszych rodaków sprzed 30 lat, dla których wizyta w zwykłym sklepie na zachodniej stacji benzynowej była niesamowitym przeżyciem, jednak - jak pokazują globalne statystyki odwiedzin placówek firmowych sklepów Apple - podobnego poziomu wrażeń doświadczają klienci na całym świecie.

Firma z Cupertino posiada aktualnie 454 sklepy, w których każdego dnia 50000 zatrudnionych tam pracowników obsługuje ponad milion klientów. Rekordzistą pod tym względem jest sklep Nanjing East położony w Szanghaju, odwiedzany 25 tysięcy razy dziennie. I tak przez 365 dni w roku, 7 dni w tygodniu, a w przypadku nowojorskiego Apple Store przy 5th Avenue - nawet 24 godziny na dobę. A przecież Apple to nie Samsung i ogranicza się do zaledwie kilku premier nowych urządzeń rocznie, pomiędzy którymi w każdym ze sklepów klienci zobaczą to samo, ułożone w ten sam sposób. Co zatem sprawia, że są tak chętnie odwiedzane?

Częściową odpowiedź daje książka „Doświadczenie Apple” autorstwa Carmine'a Gallo, w której na podstawie własnych obserwacji oraz rozmów ze specjalistami przedstawił on

niektóre metody sprzedaży i budowania lojalności wobec marki stosowane przez firmę z Cupertino. Obejmują one trzy podstawowe obszary działalności: inspirowanie klienta wewnętrznego za pomocą szkoleń, wsparcia i działań w zakresie komunikacji, inspirowanie klienta zewnętrznego poprzez wysoki poziom obsługi oraz dbałość o szczegóły związane z tworzeniem maksymalnie wciągającego otoczenia, w którym klient zobaczy produkty, dotknie ich i dowie się o nich czegoś nowego.

Każdy klient po wejściu do sklepu Apple powinien zostać przywitany przez któregoś ze sprzedawców, co przekłada się na dłuższy czas wizyty, a ta z kolei może trwać dowolną ilość czasu. W Apple Store możemy spędzić cały dzień przy jednym lub przy większej liczbie urządzeń bez obawy o to, że ktoś z obsługi będzie nas nagabywał lub sugerował odejście od sprzętu. A Apple wie, jak sprawić, by wizyta trwała jeszcze dłużej. Wszystkie produkty firmy znajdujące się na ekspozycji są według osobistego zalecenia Steve'a Jobsa podłączone do internetu, co - szczerze mówiąc - sam często wykorzystuję podczas wyjazdów. Robię to bez skrępowania, tak jak i Apple bez skrępowania stosuje triki w swoich sklepach. Każdorazowo przed ich otwarciem pracownicy muszą zadbać o to, aby wszystkie modele MacBooków były otwarte pod jednakowym kątem. Z jednej strony jest to bardzo Zen, a z drugiej każdy odwiedzający, chcąc skorzystać z laptopa, musi poprawić matrycę, a tym samym dotknąć urządzenia, co zwiększa szansę, że zdecyduje się go kupić. Moją ulubioną zasadą stosowaną w salonach Apple jest ta, że mam zawsze rację, ponieważ pracowników obowiązuje zakaz poprawiania klientów. Jak długo iPada nazywamy iPodem, tak długo pracownik będzie opowiadał nam o zaletach 9,7 calowego iPoda. Sam miałem okazję się pomylić, kiedy kupując iPoda Nano, poprosiłem sprzedawcę o model 16-megabajtowy, a ten bez zmużenia oka przyjął zamówienie. Cóż, każdy może się pomylić. Sam Steve Jobs

podczas prezentacji Time Capsule powiedział, iż ma ona pojemność 500 megabajtów. Amazing. Tak jak i Jobs, tak i ja zaraz się poprawiłem, mówiąc, że chodzi mi oczywiście o gigabajty, na co sprzedawca się uśmiechnął i powiedział: „Yes, I know”. Ups...

To tylko niektóre z działań firmy Apple, wpływające na obraz firmy cieszącej się największą lojalnością swoich klientów. Niby nic wielkiego, jednak nic nie stoi na przeszkodzie, aby w ten sam sposób funkcjonowały także inne sklepy. Zadowolony klient równa się pełna kasa, a ta jak wiadomo, płynie do firmy z Cupertino nieprzerwanym strumieniem. Oglądaliście film „Śniadanie u Tiffany’ego”? Główną bohaterkę, graną przez Audrey Hepburn, też możemy nazwać fangirl, tyle że nie Apple, a firmy Tiffany & Co. Ukazany w filmie flagowy sklep tego znanego jubilera jest oddalony o zaledwie jedną przecznicę od wspomnianego Apple Store przy 5th Avenue. Obecnie, tak jak i firma z Cupertino, Tiffany posiada salony sprzedaży na całym świecie, jej biżuteryjne produkty także nie należą do najtańszych, a wiele kobiet marzy o pierścionku zamkniętym w pudełeczku o opatentowanym przez tę firmę kolorze Tiffany Blue. Ma też swoich fanów, co pokazuje wspomniany film, jednak przeliczając dochód na metr kwadratowy powierzchni sklepu, już 5 lat temu Apple z kwotą 56 tysięcy - w porównaniu do 30 tysięcy - zjadło na śniadanie firmę Tiffany & Co.

Jeżeli Apple podczas zbliżającej się premiery iPhone’a 6S nie zadecyduje o powtórzeniu modelu sprzedaży zastosowanego w przypadku własnego smartwatcha, to oczekujący klienci swoje śniadanie zjedzą w tradycyjnej kolejce przed sklepem firmy. A te nie należą do najkrótszych. W ubiegłym roku kolejka do Apple Store na nowojorskim Manhattanie minęła nie tylko sklep Tiffany’ego, ale osiągnęła długość 10 przecznic. Poziom ekscytacji oczekujących na nowego iPhone’a sięga ze-

nit. Podsycają go dodatkowo hektolitry wypijanej kawy, a że kolejka prowadzi do Apple Store, najlepiej takiej wypijanej z kubka ozdobionego logo nadgryzionego jabłka. I jest tylko jedno miejsce, w którym go dostaniemy.

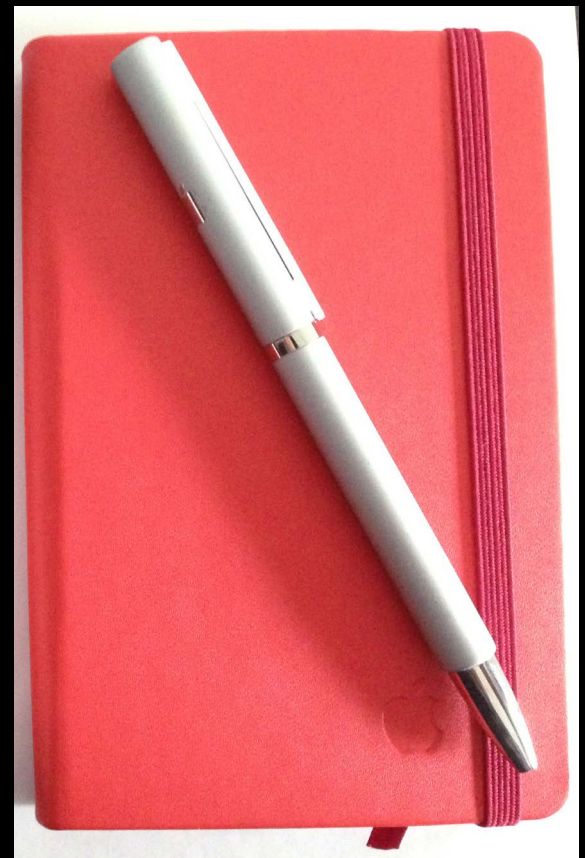
Apple Company Store, położony na terenie siedziby firmy w Cupertino, z racji swojego asortymentu różni się od pozostałych placówek. Nie znajdziemy tutaj opatentowanych szklanych drzwi, nie ma Genius Baru, a wystawionych na ekspozycji iPhone’ów, iPadów i komputerów Mac możemy dotykać do woli, jednak ich tam nie kupimy. Nawet z racji cen znajdujących się tam produktów sklep różni się od tych, które najczęściej odwiedzamy, bo chyba nie robiliście zakupów w Apple Store za 7 dolarów? W tym miejscu jest to możliwe.

Wspomniałem o kubkach, jednak nie jest to sklep garncarski i można w nim znaleźć także inne produkty ozdobione logo nadgryzionego jabłka, bez których nie obędzie się żaden fanboy firmy.

Podobnie jak w pozostałych salonach marki, obsługa w Apple Company Store stoi na najwyższym poziomie. Gdy któregoś ze sprzedawców poprosimy o śpioszki, ten także tutaj nie okaże zdziwienia, ale zamiast smart covera poda nam to, o co prosimy. Koszulki, bluzy, notesy, długopisy, ołówki, podkładki pod myszkę, portfele, wizytowniki... szwarc, mydło i powidło, a i to koniecznie z jabłek. Fani marki na pewno, tak jak i ja, nie powstrzymają się od zabrania tego wszystkiego do domu. Czy warto, na to pytanie musicie odpowiedzieć sobie sami.

Poniżej zamieszczam kilka zdjęć z mojej tegorocznej wizyty w tym niezwykłym Apple Store. Są one podwójnie archiwalne, gdyż sklep został zamknięty tuż przed wakacjami. Bez obaw, to tylko planowana modernizacja jego przestrzeni, obejmująca wprowadzenie elementów obrazujących historię firmy, a swoje kubki kupicie w nim już tej jesieni. Do zobaczenia w kolejce.

Ilustracja - Radek Szwarz; Fot. Apple Store z archiwum Autora







szybka

Szybka
.net

serwis autoryzowany

SzybkaSzybka.net

Największa sieć
pogwarancyjnych napraw sprzętu Apple



już 40 000 napraw!

**Zapraszamy
za dwa tygodnie**

**MyApple**
magazyn